N. 45 WARSZAWA d. 28 Października (9 Listopada) ROKU 1872.



TYGODNIK MOD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

To i owo.

Rzadkim wyjątkiem w roku bieżącym Listopad godnie zjiścił swoją nazwę, którą mu nadać musiano w czasach, kiedy nie było jeszcze człowieka, a z nim i wydawanych przez niego kalendarzy, nie zawsze z prawdą chodzących. Zwykle bowiem liście drzew opuszczają nas już z końcem Września — obecnie zaś, od słońca zapóźnionego, mieliśmy z nich cień jeszcze jaki taki w dzień nawet Apostołów Szymona i Judy, kiedy to jak powiadają „spodziewaj się na pewno śniegu albo grudy."

Jednak — o szmaragdowa niegdyś przyrody chwało! jakżeś nam pomarańczowemi barwy przypomniała naonczas ów w mieście naszem owoc najtańszy, który nawet dla tej przyczyny z szyku się wykruszył. Nareszcie spadłaś nam pod stopy, i nic cię nie żałuje,—gdybyś choć wyglądała jak duchessy lub calebassy, z których każda przynajmniej kosztuje pół rubla!.

Już to i sztuka dzisiejsza —przyznać należy—do złudzenia naśladować umie naturę. Trochę wprawdzie pośpieszniej działająć—ale to już nieodzowny warunek wszelkiej konkurencyi.

Weźmy na to nie dalej jak owe zielone tkaniny czarowne, które dla miłych sąsiadów produkują u siebie Niemcowie, z surowym jak wiadomo zakazem sprzedawania ich w obrębie Vaterlandu. Zaledwie mierzący je w sklepie kupczyk kaszlu od nich dostał suchego, zaledwie swawolne kolek się w piersiach nabawiła, zaledwie czas miano ogonem zdziałanej z tego sukni dostatecznie gruby obłok kurzu po za sobą wzniecić—dość, żeby na ów przepych majowy, słońce nieco uważniej spojrzało—co mówię, dość nawet żeby go tylko wietrzyk zlekka upieścił—patrzysz—aliści żywość owa niezrównana w fałdy się co prędzej chroni—zewnątrz sromotnie tylko szare zostawiając ślady. To też nazywa się to nihilina—czy podobno anilina—czy jak tam—ale w żadnym razie nie anilina—choć i taką wersyę słyszałem.

Albo i te nici nasze dzisiejsze. Zdawałoby się: że im chwała babskiego lata spokojnie spać nie daje. Jakże? Było takie zdarzenie, że ktoś kichnąwszy przy oświadczeniu, uczuł z rozpaczą, że mu się frak rozpruł wzdłuż całego grzbietu.

Sprobuj o rzecz podobną u krawca sprawiedliwości szukać.—Proszę pana—powiada on—ja przecie nici nie robię.

Udajesz się do fabryki.—Proszę pana—my przecież lnu nie robimy.

Któż tedy ten len robi? No juścić Pan Bóg z nieba wysokiego. Ale wszelka Boża robota dobrą jest, tylko że wy ją ludzie czy tam fabrykanci, ile się da dla marnej mamony psujecie. Bo gdybyś mógł z kolei ten jeszcze len przed kratki sądowe zapozwać, adwokat jego wykazałby dowodnie, jako nie kto inny klienta jego do zguby przywiódł, jedno niejaki cyanek ołowiu, lub inny podobny jemu barbarzyniec, z którym najlepiej nie mieć zbliska sprawy. Słowem, że tak od Annasza do Kaifasza odsyłany, w końcu trafisz zawsze na Piłata, który sobie od wszystkiego umyje niezbyt czyste ręce.

Weźmy jeszcze przykład drugi.

Pan Bóg dał po prostu wołowi uczciwą, mocną, pojedynczą skórę,—a wy tymczasem cóż z niej robicie? Oto, z chciwości jej do wody chciwie korzystając moczycie ją aż napęcznieje, i wtedy dowcipnym jakimś rzezakiem w grubości jéj wykrawacie aż trzy równomierne skóry. Prawda, że tym sposobem skóra ta, przez trzy pomnożona, tyleż razy taniéj wam wypada,—ale pytam się: co nam ztego, jak raz w tym zysku waszym najmniejszego nie mamy udziału? Toćże słyszę, cielęcą nawet arcy-cienką skórę, w ten sposób jeszcze przepołowić można. Co gdy się stało, dziwnie kunsztownie nadaje się jéj zwierzchni groszek, spodnie włókienka,—i wszystko jest w porządku, jakby rzecz wyszła wprost z rąk Stworzyciela.

Powiadał mi jeden rzemieślnik, że najbieglejszy nawet znawca nie rozróżni wtedy fałszu od prawdy. Choć wydaje mi się to trochę dziwnem. Nie mówię gdyby tam chodziło o odróżnienie epigramatu od epilogu, lub grammatyki od drammaturgii...

Dość jednak—że te i tym podobne zwycięztwa sztuki nad nieokrzesaną materyą, wytworzyły zwolna nieznaną przedtem postawę u pośredników w rzeczach niezbędnéj potrzeby, względem tych, którzy ostatni za te potrzeby płacą. Oto poprostu rzemieślnik ręczy dziś tylko za swoją robotę—powodzenie zaś materyału, robi zależnem od własnéj twojéj mniéj albo więcéj szczęśliwéj gwiazdy.

Skutkiem czego cóż się dzieje? Dajmy na to: w bucie twoim, zkądinąd jeszcze całym, ni z tąd ni z owąd z przeproszeniem zrobiła się dziura. Naturalnie, wina to skóry, ćwieków lub dratwy. Rzecz załatwiłaby się przyszczepką, która najwięcéj kosztuje złotówkę. Właśnie w domu gdzie mieszkasz jest w dziedzińcu szewc biedny, który wyrzeka zawsze, że nie ma roboty. Do niego się udajesz, ale on twierdzi obrażony: że potrafi tak samo działać buty nowe jak kto drugi—naprawiać zaś cudzą robotę rzecz nie jego. Twój zaś tymczasem, w sklepie swoim, szyby ma zwierciadlane, więc zaraz przyszwę proponuje, któréj wcale nie potrzeba,—gniewny zaś, że mu się pare rubli z rąk wymknęło, naprawkę chłopcu najmłodszemu zleca, i ten dopiero, w godzinach wolnych, twoim kosztem uczy się początków rzemiosła.

Rzecz dziwna, że też dotąd w kunszcie szewckim nie ma jak w krawieczyznie, specyalnych naprawiaczy. Nie jeden stróż, zamiast drzemać w bramie w zimowe długie wieczory, mógłby mieć z tego zarobek nie lada. Pomijając już, że tym sposobem zbliżyłby się nawet do ideału paryzkiego portiera,

z pewnością miałby co najmniéj całego domu praktykę, i jeszcze w dodatku zawdzięczenie ogromne— bo któż policzy wszystkie buty wstydzące się żebrać litości... świetnych wystaw sklepowych?

O kwestyo butów! któż tego nie wie: żeś ty kwestyą przeważnie literacką? Człowiek by jednak, jak Dyogenes, chętnie nieraz boso chodził... byle o nim ludzie gadali—ale jak nie zechcą? Do tego chodniki u nas takie wązkie, że co krok musiałbyś ustępować komuś mniéj od swego buta mądremu, a tu znowu bruk taki zacofany...

I jeszcze w klimacie podobnie jak nasz utrapionym, przeziębić się bardzo jest łatwo, a nuż z tego choroba? Komuż zaś wiadomem nie jest: że chorować u nas, o wiele drożéj już wyjdzie, niż mieć buty całe?

Oczywiście, mowa tu głównie o aptece, bo doktór albo od biednego nic nie weźmie, albo to przyjmie co mu dadzą „wedle przemożenia." Ale aptekarz poprostu lekarstwa od siebie nie wypuści, dopóki mu co do grosza nie zapłacisz: i złoconego papierka, i czerwonego sznurka, i wreszcie kunsztownego lakiem na to wszystko kapnięcia. Obecnie zaś, złocenia te i czerwoności i kapania, jakby o wiele dzielniej od samego lekarstwa uzdrawiać miały, do cen tak wybujałych popchnięto, że doprawdy, fraszka przytem wszystko, co dotąd nazywano aptekarskim rachunkiem.

Sam raz widziałem w aptece biedaka, który przyszedł zamówić lekarstwo. Że jednak nie miał całego rubla, jak to z obrachowania wypadło, więc odprawiono go z niczem. Żażądałem wyjaśnienia mi téj kwestyi.

— Taka jest taksa odpowiedziano.

— Rozumiem. Taksa jest na to, żeby wyżej nad nią brać się nie godziło, ale któż może zabronić dobrowolnego umniejszenia sobie zysku?

— Proszę pana, tu już jest ściśle obliczona i wartość materjału, i użytych do przygotowania go przyrządów, i wreszcie praca około wyrobienia z niego zbawiennej mikstury.

Myślę że płaca większa tu chyba niż praca. Jakże? Proszę z nią porównać trudy doktora, bez którego przedewszystkiem aptekarza by nie było. Ten, nie tylko nierównie więcej czasu a wysiłku włożył w wyuczenie się swej sztuki, nie tylko że i ta umiejętność jego nieco więcej od aptekarstwa warta, ale widzianoż więcej utrapionego nadeń wyrobnika? Ani nocy u niego, ani niepogody, ani wyręczyciela, ani bodaj choroby. Dopieroż odpowiedzialność, która na aptekarza nie prędzej spada podobno, aż chyba, jeśli w roztargnieniu zalotnem, na słoiku z maścią przylepił objaśnienie, że ją co godzina brać należy po łyżce stołowej.

Sądzę tedy: że już na recepcie którą doktór zapisuje, daleko więcéj mieści się pracy, niż w wykonaniu jego zlecenia, do czego dość tu i owdzie sięgnąć ręką na półkę, siedząc z resztą przy ciepłym piecu, i biorąc za to niechybną zapłatę, którą ci każdy do domu przynosi.

Zaczem, z dwojga tego wybierając, bodajto powiadam, aptekarzem być.

Ale nadewszystko bodajto podobno pacyentem nie być. Bowiem, jak się patrzy, chorować u nas na te czasy ciężkie, rzecz to nie tylko szpetna, ale i kosztowna. Jeszcześ samemu, ale jakby we dwoje?

Doprawdy człowiek nieraz ożenić by się rad. Panienki takie śliczne! Bywa nierzadko: że jak ci się to wszystko po ogrodzie roztoczy—istne Flory królestwo! nie wiesz zachwycony, gdzie się tu kwiaty kończą, a gdzie zaczynają uśmiechy, spojrzenia i te tysiączne uroki, które ci wstępnym bojem, niby nieprzymierzając dom gościnny, coraz przestronniej rozpychają serce.

— Ot ta naprzykład—istna różyczka!

Idziesz za nią oczarowany. Nie dziś to było, ale rankiem majowym, który już nie wróci. Ku zakładowi wód mineralnych skierowała kroki.—Co? taka świeża, i już wody pije—czyż to podobna? I jakież-to?—No przecie widzisz ciemięgo, że bardzo pilnie w szklankę dmucha, że przez rurkę ostrożnie płyn zbawczy w siebie wciąga, ząbków jej bowiem perłowych szkoda.—Karlsbadzkie! no proszę—takie bankierskie wody, któremi się od trufli człek przyzwoity leczy!..

— No a ta druga—jabłuszeczko doprawdy. — Ha, ha! bardzo ono kosztowne—co roku do Ems wozić ją trzeba.—Do Ems! taką wiosenkę?—Cóż robić. Szczęściem jest na to. —A gdyby nie było?...

— Ależ panna Zofia przynajmniej to już pozwolisz; Samo zdrowie— krew z mlekiem. Taka hoża—prawdziwie wiejska pasterka.—Jakto? nie wiesz? za hrabiego poszła.—Voilà un coquin des plus heureux! —Dosyć sobie choć znowu nie tak bardzo. Na ziemię do Meranu ją powiózł!—A! do Meranu? Aż tak daleko? I to na zimę na całą, podczas kiedy my tu tak zawzięcie tańczymy?...

— Moi państwo, powiedzcież mi nareszcie: gdzie się u licha dziś podziało zdrowie? Toćże każda z tych panien...

— Widzisz waspan, każdą z nich po angielsku hartowano, ubierano po szkocku, aż się też i dobiła irlandzkiego zdrowia...

— Hej! hej! Mocny Boże!

Gdzie to te dobre czasy, gdy prababki nasze
Wiedziały, kiedy bydło szło z obór na paszę?...

— Bydło! fi—quelles façons!

O ja nieszczęśliwy! Jakże tedy? żenić się, czy nie żenić?

— Zrób waść jak chcesz, —mawiał Sokrates—zawsze będziesz żałował...

(G.) — Odczyty tegoroczne urządzone przez Towarzystwo Dobroczynności rozpoczęły się pod dobrą wróżbą, rokującą im świetniejsze powodzenie jak w latach dawniejszych. Pierwszym był pan Felicyan Faleński, a za przedmiot obrał sobie: życie i działalność Petrarki owego tkliwego śpiewaka Laury, którego miłości, smętku i tęsknoty za wymarzonym ideałem, nic nie zdołało przytłumić, ani burze życia, ani habit mnisi, ani oklask całego nieomal świata, ani wreszcie cisza natury w śród któréj w ostatnich latach swego życia, uwieńczony poeta szukał ulgi i wytchnienia. Całe studyum opracowane z niezmierną sumiennością, obok prześlicznego języka, formy pełnéj wdzięku, obejmowało wszystkie szczegóły wprawione w ramy ówczesnych wypadków pojęć, wyobrażeń, a mogących posłużyć do uwydatnienia głównéj postaci. Żale po utracie ukochanéj, pan Faleński porównał z trenami naszego piewcy z Czarnolasu, i boleść ojca wyższą się tu okazała od rozpaczy kochanka, ojciec w cudniejszéj formie i silniejszym tonem brzęknął w lutnię poezyi. Niepodobna nam streszczać całéj téj zajmującej opowieści, powiemy tylko, że słuchając jéj, przejął nas żal, jakby zazdrość, że szanowny prelegent pracy swéj tak drogocennéj, nie poświęcił jakiéj postaci do dziejów naszéj literatury należącéj. Nie jest to jednak zarzut: znamy aż nadto dobrze przeszkody stojące temu na zawadzie, między któremi i brak materyałów przygotowawczych, z ukrycia dotąd nie wydobytych niemałe zajmuje miejsce. Jan Kochanowski niegdyś podobnie obrobiony przez pana Faleńskiego, żal ten w zupełności usprawiedliwia, jakżeby więc to było i pożytecznem i zajmującem, gdyby i inni nasi pisarze i poeci, stanęli jasno w całym blasku swych zasług i talentu pod wymownem słowem szanownego prelegenta.

Jakkolwiek zbyt to wielki przeskok od prelekcyi do krytyki dzisiejszéj prasy peryodycznéj, muszę go jednak zrobić aby wypowiedzieć kilka słów prawdy, nie pierwszy już raz choć pobieżnie podnoszony. Czem jest nasza krytyka, a w szczególności owe tak uporczywie ogłaszane przeglądy prassy peryodycznéj, mniéj więcéj znamy to wszyscy. Świeży dowód jéj lekkomyślności, wykazany został przez Zorzę, w odpowiedzi recenzentowi Kłosów, która mu doniosła jak najszczegółowiéj, że pisał o tem czego nie czytał i co gorsza ganił to, czego nawet poznać nie starał się. Sam nawet recenzent zarzut ten tak wstrętny, usprawiedliwił własnemi słowami oświadczając bez żadnéj ogródki; jak Zorza jest redagowana to nas tylko zajmować powinno: co zaś w niej wyczytać można, to dla nas wszystkich mniej więcej jest obojętne. Większej już naiwności w krytyku trudno się domagać, na nieszczęście nie pierwszy raz z podobną miano już odwagę wystąpić.

Ten pośpiech, ta gorączkowa szermierka słów bez żadnej powagi i zastanawiania się z pod pióra wielu krytyków dzisiejszych na świat wybiegająca, coraz się bardziej rozszerza. Skandal, nawet potwarz wciskają się coraz częściej w szpalty niektórych Tygodników i piśmiennictwo bieżące, jedynie tylko umiarkowaniu napadniętych zawdzięcza, że się nie zmieniło dotąd w osobiste waśnie z rozwojem literackim żadnego nie mające związku.

Czas temu wielki zapobiedz, a zrobić to może jedynie opinija publiczna stanowczem potępianiem podobnie szkolarskich wybryków, i poważniejsza prasa peryodyczna pozostawianiem ich bez żadnej ze swej strony wzmianki. Milczenie to broń zabójcza; pozbawia owego tak upragnionego rozgłosu; owej wrzawy mimowoli obudzającej zaciekawienie, a tyle pożądanego dla tych, co go zdobyć, innym nie umieją sposobem, jak tylko napaścią, skandalem lub wreszcie potwarzą. Podobne wprawdzie grzechy ciążą i na obcych literaturach, ale nie wszystko co wolno Niemcom, Francuzom, Anglikom lub Amerykanom dla nas jest właściwem. Wartoby się nad tem cokolwiek pilniej zastanowić.

W ślad za tak potworną krytyką i wiadomości brukowe, i ścieranie się zdań ogłaszanych drukiem, bawią się podobnie naganną lekkomyślnością. Wypadki fantastyczne, sprawozdania na urojeniu oparte z dniem niemal każdym występują na widok publiczny. Tu uśmiercają człowieka na polowaniu gdy ten najzdrowszy przyjeżdża do Warszawy: tam ogłaszają o ucieczce cudzoziemskiego restauratora, gdy ten ani mógł ani myślał uciekać: tu przytaczają cyfry niby wiarogodne o ruchu w jakim szpitalu w których sprawozdawca tak się nieszczęśliwie myli, że zamiast 744 chorych wymienia 928—zamiast wyzdrowiałych 111 oznacza ich na 390, a umarłych wymienia 92 gdy ich było 84.

To już nie omyłka, ale.....sam nie wiem jak nazwać podobne wybryczki dobrego humoru.

Pomijam wypadki dawniejsze, owe rozbójnicze napady, ratunki nadspodziewane, później wykazane jako bajdy najzupełniej zmyślone, sądzę bowiem że i przytoczone aż nadto usprawiedliwią zapytanie, do

czego to nas pod przewództwem tak niesumiennej, krytyki doprowadzi?

Na zakończenie pogadanki kilka słów jeszcze musimy dodać o poranku deklamacyjno-muzycznym Jana Chęcińskiego, danym w niedzielę d. 27 października r. b. w sali Resursy Obywatelskiéj.

Jakoś niebardzo się szczęściło z tym porankiem naszemu poecie artyście; zapowiadane w pismach codziennych osoby, które miały przyjąć udział w deklamacyi i śpiewie, zniknęły z ostatecznego programmu. Pan Królikowski zajęty wystąpieniami scenicznemi, niemiał czasu podjąć nowego trudu; pan Filleborn w wilję koncertu śpiewał w *Halce* więc był znużony; pani Rakiewiczowa w samą niedzielę zachorowała.

Jednakże poranek deklamacyjno-mnzyczny powiódł się wcale dobrze, do czego niemało przyczyniła się uprzejmość prima-donny naszéj opery pani Dowiakowskiéj, która na parę godzin przed koncertem uproszona przez p. Chęcińskiego, nieodmówiła mu koleżeńskiéj pomocy.

Teraz idźmy koleją.

Zamiast zapowiedzianego *starego kaprala* Moniuszki, do słów przełożonych z Beranżera przez Syrokomlę, pan Prochazka zaśpiewał z humorem i werwą piosenkę z opery Marta, i jakkolwiek publiczność nagrodziła śpiewaka oklaskami, ta jedna zmiana programmu, stała się dla niéj krzywdą, bo piosnka z Marty, nie mogła zastąpić jednego z najpiękniejszych utworów Moniuszki.

Deklamacya panny Marjewicz, uczennicy p. Chęcińskiego, powszechnie się podobała. Panna Marjewicz posiada miły i dźwięczny organ głosu, dobrze prowadzony przez nauczyciela oraz wiele zapału i uczucia; są to warunki, które jéj dozwoliły wypowiedzieć ustęp z *Dziewicy Orleańskiéj* bardzo dobrze, zwłaszcza jak na pierwszy raz występującą w obec publiczności uczennicę.

Barkarola Spohr'a i dwa mazurki Wieniawskiego, wykonane na skrzypcach przez pana Górskiego, wzbudziły ogólny zapał, bo też utalentowany ten artysta, umie pochwycić za serca, skrzypce pod jego palcami zdają się przemawiać, porywając słuchaczy i wywołując silne wrażenie.

Pierwszą część koncertu zakończył pan Chęciński odczytaniem własnego poematu p. t. „*Za młody*." Treść tego utworu jest jakby kartą wyrwaną z życia: są w nim ustępy błyszczące poetycznem natchnieniem; inne umiejętnem obrazowaniem, inne znów szczerym humorem albo uśmiechem przedzierającym się przez łzy; całość zajmująca, potoczystym określona wierszem. P. Chęcińskio bdarzony dźwięcznym i niepospolicie wyrobionym głosem, wypowiedział swój utwór naturalnie, bez przesady, z zapałem i uczuciem dobrze zastosowanem do słów; to też mimo długości poematu, potrafił zająć słuchaczy, którzy nagrodzili artystę rzęsistem brawem i dwukrotnem przywołaniem. (Poemat „za młody"— który do deklamacyi został przez autora znacznie skrócony, drukowanym był przed kilkoma laty w „Tygodniku Illustrowanym).

Pani Dowiakowska odśpiewała prześlicznie jeden z mazurków Szopenowskich, oraz *Ave Marya* Gounoda z akompanjamentem skrzypców i fortepianu (pp. Górski i Jarecki). Znużenia na które się artystka żaliła, wcale nie było znać w jej śpiewie, głos niezawodził ani w najdelikatniejszych modulacjach, ani w świetnych passażach. Te dwa numera, były też prawdziwą niespodzianką i ozdobą improwizowanego programu, pomnąc i na to że *Ave Marya* poprzedziło solo na skrzypcach, odegrane przez p. Górskiego.

Panna Wojakowska, zamiast zapowiedzianych programem piosenek p. Kratzera, odśpiewała także jeden z Szopenowskich mazurków, zaczynający się od słów„ już mam szesnaście lat" a odśpiewała go z życiem i umiejętnością.

Arja z opery „Faust" Gounoda odśpiewana przez pana Mikulskiego, młodego tenorzystę, czyniącego widoczne w swej sztuce postępy, dobre sprawiła wrażenie; wreszcie zakończono poranek tercetem z opery Verdi'ego „Jerozolima" wykonanym przez Pannę Wojakowską oraz panów Mikulskiego i Prohazkę.

Co ja lubię.

Lubię ja łąkę gdy się zieleni,
Ptaszka co w górze przedemną lata,
Lubię ja myślą bujać w przestrzeni,
Zapominając o reszcie świata.

Lubię ja w gaju słowików pienie,
I lubię cichy szmer rzeki,
Co w sercu wznawia dawne wspomnienie,
Lub je zaciera na wieki.

Lubię ja orła, gdy w dumnym locie
Opuszcza ziemię dla słońca;
Lubię poetę co w prawdzie, cnocie,
Wytrwa zwycięzko do końca.

Lubię gdy strumyk płynie doliną
Gdy wietrzyk szumi powoli,
Lubię tam siadać późną godziną,
I marzyć o tem co boli.

Lubię ja blade światło księżyca,
Gwiazdy co świecą nam z góry.
Lubię gdy uśmiech ozdobią lica,
Choć w duszy smutek ponury.

Lubię oddychać powietrzem wiosny,
Nim przyjdą słoneczne skwary;
Lubię ja młodość; ten wiek radosny,
Wiek niewinności i wiary.

Jeśli tęsknota mieści się w duszy,
Jeśli mnie ściga cierpienie,
Lubię śpiew tkliwy co łzy osuszy,
Wzbudzając w sercu wzruszenie.

Lubię świątynię gdzie tyle razy,
Kapłani Boską naukę głoszą,
Lubię modlitwy święte wyrazy,
Co myśl do Stwórcy podnoszą!

Lubię gdy szczęście nie skryte cieniem,
W domowem gronie barwi się w kwiecie,
Lubię gdy ojciec z tkliwem spojrzeniem,
Czule uściśnie swe dziecię.

Lubię gdy w sercu wiara jaśnieje
Gdy miłość czysta w niem świeci,
Lubię pokładać w Bogu nadzieję
Gdy szczęście od nas uleci!—

Emilia N...

DEPOZYT

POWIEŚĆ

PRZEZ

WALERJĄ MARRENÉ.

(*Dalszy ciąg*).

— Są to harde słowa panie Pliszka, nie darmo przepędziłeś parę lat w Ameryce, wyniosłeś je ztamtąd. Zasady wolnych a pracowitych obywateli nowego świata, przystają dla ludzi co na samych siebie rachują. Ja wyznaję je także, czy ci to wystarcza?

— Nie zupełnie, bo czuję się obowiązanym względem pana. Naprzykład ta stancyjka po moim ojcu, którą nająłeś by ułatwić mi poszukiwanie wątpliwej spuścizny, ja nie mam czem za nią zapłacić...

— Jak znajdziesz skarb panie Pliszka, to się porachujemy.

— Na skarb nie liczę, odparł zagadniony, kładąc szeroką dłoń na stole, bo i cóżby ze mną było gdybym był się spuścił na ten majątek, należący mi się przecież z prawa.

— Stało się, wyrzekł z uśmiechem Hieronim stancya jest już najętą, nie sądzę byś posuwał pan dumę swoją tak daleko i nie chciał z niej korzystać. Izba, którą zajmujesz teraz jest wilgotną, to szkodzi twojej chorej żonie, tutaj byłoby jéj lepiéj daleko, na wiosnę łatwiéj sobie coś innego wyszukać, jeślibyś pan téj zatrzymać nie chciał.

— Ależ ta jest dwa razy droższą od mojéj, zawołał rzemieślnik, wzruszony więcéj daleko niż to chciał pokazać. Pan myślisz o wszystkiem, na wszystko masz odpowiedź.

I mówiąc to tarł czoło spracowaną ręką, jakby ostatnie skrupuły jego pierzchały przed logiką słów Hieronima.

— Chodźmy tymczasem ją obejrzeć, wyrzekł, ten ostatni, chcąc zakończyć wahania jego.

Rzemieślnik siedział jeszcze chwilę zachmurzony aż w końcu podniósł się gwałtownie i stanął naprzeciw Hieronima.

— Jużcić ja przyjąć to od pana muszę, wiem to dobrze sam. Nie turbowałbym się nawet o ojcowski majątek, pal go licho. Żałował mi za życia na chleb i naukę, to i po za grobem mi go pozazdrościł, cóż kiedy nie wolno mi tego uczynić, mam żonę i dzieci.

Wyrzekł to z rodzajem tłumionéj wściekłości, jakby ciężyły mu obowiązki dla ukochanych istot, i nasunąwszy czapkę na oczy wyszedł za Hieronimem.

— Czy pan byłeś tam kiedy? spytał jeszcze.

— Raz tylko za życia pańskiego ojca, w czasie jego choroby. Pytałem się czy mu na co przydatnym być nie mogę.

— I cóż? przerwał Pliszka, jakby miał nadzieję dowiedzieć się coś nowego z tego opowiadania.

— Jak to panu już mówiłem, ciągnął dalej młody człowiek, starzec odprawił mnie niechętnie, sądził zapewne że ja także czyhałem na jego pieniądze. Jak wielu innych, których o to podejrzywał, tak do ostatniej chwili i moją pomoc odrzucał, aż jednego rana znaleziono go umarłym z ręką na szkatule, ale ta była próżną.

Pliszka słuchał tych szczegółów znanych mu od dawna z wielką chciwością, jakby chciał z tej mgły

wydarzeń wysnuć sobie nadzieję lub przynajmniej podejrzenie jakie.

— A w nocy przedśmiertnej czy był kto u niego? zapytał.

Hieronim wzruszył ramionami.

— Tego wiedzieć nie mogę, odparł, nie przewidywałem co stać się może w przyszłości, nie śledziłem faktów obojętnych dla mnie, dziś sobie to wyrzucam. Wszędzie gdzie dzieje się niesprawiedliwość, każden uczciwy człowiek czuwać powinien. Stało się, uchybiłem temu prostemu obowiązkowi i dziś za to ukarany jestem.

Pliszka nie przeczył mu, rozumiał zapewne to wysokie poczucie działalności człowieka i szedł w milczeniu przez dziedziniec. Tam w drugiej oficynie na najwyższem piętrze znajdowała się izdebka, w której skonał przed czterema laty stary skąpiec. Było to mieszkanie dla ubogich ludzi, pokój, w nim maleńka kuchenka, z oddzielną częścią strychu na małe schowanie.

Pliszka drżącemi rękoma otworzył drzwi i stanąwszy na środku rozpatrywał się w koło chmurnym wzrokiem. Czy budziły się w nim wspomnienia złego ojca? czy powstawały lub znikały nadzieje? Nie podobna było odgadnąć z jego twarzy.

— Czy tu nic niezmienione? spytał wreszcie stłumionym głosem.

Hieronim zdawał się zbierać wspomnienia.

— Nie, powtórzył po namyśle, tylko wybielono ściany. I z pamięcią będącą koniecznym warunkiem wyższej inteligencyi, wskazywał dawny rozkład sprzętów.

— Tu stało łóżko, tuż przy niem na krześle po śmierci znaleziono ciężką szkatułkę.

— A w szkatułce nic?

— Nic wcale Nie było za co sprawić pogrzebu, aż zajął się nim właściciel domu.

— I nikt nie czynił poszukiwań.

— Kogoż to miało obchodzić? Okna moje jak pan widzisz są wprost okien tego pokoju, przypominam sobie, że w dzień śmierci starca, okna te w brew zwyczajowi po kilka kroć oświetlały się i gasły, ale było to w zimie, nie wiem czy kroki jakie rozlegały się po dziedzińcu, wiem tylko, że wśród nocy, nikt obcy nie wchodził do domu, bo pytałem zaraz o to stróża.

Pliszka słuchał tych objaśnień ze spuszczoną głową, aż wreszcie wyrzekł:

— Próżne są poszukiwania moje, loika faktów przeciwko mnie przemawia. Skoro znaleziono przy łóżku pustą szkatułkę, ktoś w nocy z wolą lub mimo woli ojca zabrał pieniądze.

— Myślałem o tem, ale kto wie czy czując zbliżającą się chwilę śmierci, nie ukrył gdzie skarbu swego, czy nie miał na to przygotowanej skrytki jakiej.

Pliszka potrząsnął głową.

— Nie, wyrzekł, pieniądze to rzecz zbyt ponętna by je zostawiono w spokoju, ja tutaj nic nie znajdę, tu już znaleziono.

Rzeczywiście widok ścian mieszkania nie był pocieszającym. Mury były tak proste, tak czyste iż widocznie nie miały nic do ukrycia, w ich łonie nie mieściła się żadna tajemnica. Przeszli dalej do komórki i tam nie było nic mogącego zwrócić uwagę.

Pliszka usiadł smutnie, na brzegu angielskiej kuchenki, Hieronim wsparty o okno przyglądał mu się w milczeniu. Myśl jego pracowała daremnie, chcąc wysnuć prawdopodobieństwo z tych odległych faktów, zatartych już od dawna w pamięci ludzkiej i gubiła się w labiryncie przypuszczeń. On także, tracił nadzieję wynalezienia skarbu, starzec mógł skryć go przed chorobą jeszcze w jakie niedostępne miejsce i tajemnicę swoją unieść do grobu. Przypomniał sobie teraz dokładnie jego powierzchowność, te suche, złośliwe nieużyte rysy, nizkie czoło obrosłe siwemi kosmykami włosów, szydercze usta i oczy w pół obłąkane błyszczące gniewem, i te wychudłe żółte spiczasto zakończone palce, które zawsze zdawały się coś zgartywać. Człowiek ten był w stanie ostatniego figla spłatać społeczeństwu i zniszczyć skarb swój nie mogąc zabrać go z sobą. Jednak nie uznał za stosowne podzielić się z Pliszką tym smutnym domysłem, rzemieślnik ze swéj strony zapewne, przyszedł do podobnych wyników, bo spojrzał w koło i powstał.

— Ha, wyrzekł, cóż robić, straciłem oto pół dnia i koniec. Daremne pańskie dobre chęci. Syn bogatego ojca, pomimo to całe życie byłem biedakiem i takim zostanę.

— Jakto, więc nie chcesz pan nawet probować?

— Czego tu probować? pochwycił opryskliwie Pliszka, patrz pan, dodał uderzając nogą w podłogę, deski dobrze przymocowane, czy mam mury rozbijać? Wszakże schorzały starzec nie mógł w nich sobie skrytki wyrobić—na co to wszystko.

— Panie Pliszka, zawołał Hieronim, uczyń przynajmniej to jedno i przenieś się tutaj. Kto wie, traf czasem ludziom dziwnie w pomoc przychodzi. Patrz ja wymawiam sobie, że tak opieszale patrzyłem na wypadki toczące się przed memi oczyma, uczyń to dla spokojności mego sumienia.

Był prawdziwy żal w tych słowach, spoglądał na Pliszkę wymownemi oczyma, jak gdyby go prosił o łaskę jaką dla siebie.

— Ha jak pan chcesz, odparł rzemieślnik, cóż robić, teraz ja zależę od pana. Źrenice jego zamgliły się, ścisnął gwałtownie rękę Hieronima, coś widocznie leżało mu na sercu, czego wypowiedzieć nie mógł lub nie chciał, i zamknąwszy pustą stancyjkę zbiegł z góry czemprędzéj. Hieronim zwolna podążył za nim, zagadka przeszłości widocznie tkwiła mu w myśli. Przebiegł pamięcią ubiegłe lata, ludzi przewijających się w tym domu, w tym mieszkaniu i żaden cień podejrzenia nie powstał w jego głowie. Skarb starca przepadł jak kamień w wodę, fakt ten był niewątpliwym, czy syn jego miał go posiąść kiedy? ta nadzieja zdawała się coraz wątpliwszą. Hieronim jednak nie miał czasu zajmować się tem wyłącznie, powrócił do siebie, spojrzał na zegarek, godzina była spóźnioną, czem prędzéj więc uporządkował rozstawione sprzęty i poszedł do biura.

U Kalińskich wszyscy jeszcze pogrążeni byli we śnie. Służba tylko porządkowała leniwo salony, koło południa dopiero przebudził się Ignaś i wstając powoli, przypomniał sobie przyjemności dnia wczorajszego rachując i te, które go dziś czekały. Było to miłe przebudzenie, a jednak pomimo to, młody chłopiec ziewał okropnie i wyciągał się w fotelu, na który rzucił się zmęczony, zapewne długim snem.

— Czy panie już wstały, zapytał wchodzącego lokaja.

Panie spały jeszcze, ale ojciec był już ubrany i pił herbatę. Trzeba przyznać, że Ignaś bez porównania wolał towarzystwo matki i siostry niż ojca. Pomimo całego pobłażania z jakiem był wychowany, lękał się często łagodnych napomnień jego, teraz jednak ucieszył się tą wiadomością, miał osobliwe powody pragnąć rozmowy z ojcem sam na sam. Ubierał się więc spiesznie.

Arnold Kaliński pił herbatę w swoim pokoju, twarz jego jak zwykle nosiła sprzeczne ślady burzy i pogody. Siedział zamyślony spoglądając machinalnie na dym cygara, unoszący się w górę, gdy wszedł Ignaś. Ojciec i syn powitali się serdecznie z pozorną swobodą ze strony młodego chłopca, który nalał sobie herbaty i usiadł ziewając.

— Czy nie wyspałeś się jeszcze Ignasiu?

— I owszem ojcze, tylko czuję się jakoś nie swój, zmęczony.

— Za nadto się bawisz, odparł Arnold, wlepiając w syna przenikliwe spojrzenie.

— Oh! gdyby tylko o to chodziło, zawołał chłopiec wesoło.

— Tak jest, powtórzył ojciec, nie zważając wcale na tę przerwę, od dwóch tygodni myślałeś tylko o tym teatrze i nie byłeś nawet na żadnej prelekcyi.

— Nieprawdaż! jak nam się udało odpowiedział syn, uważając za stosowne pominąć zupełnie drugą kwestyę, a zatrzymać się tylko na pierwszej.

Ojciec uśmiechnął się mimowoli.

— Rzeczywiście udało wam się nieźle, ale nie o to teraz chodzi.

— A o cóż więc?

— Ty zupełnie opuszczasz się w naukach Ignasiu...

— Ah! mój ojcze wszak to teraz karnawał. I wynalazłszy to genyalne tłomaczenie, chłopiec spojrzał tryumfująco jakby mu już nic wcale nie było można zarzucić. Pan Kaliński popatrzył na syna z odcieniem smutku i miłości.

— Lękam się byś nie brał życia za ciągły karnawał.

— O zaręczam cię ojcze, uczyłem się dawniej i znowu uczyć będę szczerze, gorliwie, tylko...

— Tylko co Ignasiu?

— Tylko to takie nudne wszystko, ale skoro chcesz ojcze...

— Wszak ja chcę tego nie dla siebie, zły to znak mój synu, gdy w twoim wieku nauka wydaje się nudną...

Ignaś ziewnął znowu, jakby to samo przypomnienie działało na jego nerwy, ale wyrzekł:

— Doprawdy nie frasuj się ojcze zobaczysz, że ja zdam egzamin.

Usłyszawszy tę zdawkową odpowiedź, Kaliński westchnął, widocznie syn nie był tem czem on marzył. Szedł odmienną drogą niż ta, którą wytknął mu ojcowski kierunek, i wzrok jego spoczął na Ignasiu brzemienny serdecznym wyrzutem. Ale twarz dziewiętnastoletniego chłopca tchnęła taką wesołą pogodą, usta uśmiechały się tak szczerze, iż ojciec nie miał serca sformułować go wyraźnie i nawzajem bez zastanowienia uśmiechnął się do tej rozkwitującej młodości, zapominając, że ogień co gorzał w oczach Ignasia, nie był odblaskiem namiętnym porywów ducha, palił się zwykłą gorączką krwi. Tylko stronne oko ojca omylić się na tem mogło. Ten piękny bezmyślny chłopiec, wzrastał zwolna na szkodę społeczeństwa, którego miał stać się pasożytnym członkiem: siły jego nie skierowane ku celowi żadnemu, nie ujęte hamulcem woli, były groźbą dla przyszłości, zamiast wnieść w życie żywioł dodatni mogły tylko być powodem rozkładu.

Czas ludzi niewinnie biernych przeminął, w dzisiejszym świecie nie ma dla nich miejsca. Kto nie jest użytecznym, samą siłą rzeczy szkodliwym być musi, jakiekolwiek miałby nawet instynkta i poczucia. Te dwa wyrazy nie mają już wyraźnego znaczenia i mogą doprowadzić na straszliwe manowce. Trzeba dzisiaj coś więcéj by obronić człowieka od pokus serca, od omyłek życia i utworzyć z niego nie dziecko nieudolne, chwiejne na każdy pocisk złego losu, ale świadomą siebie istotę, uzbrojoną wiedzą i wolą na twardą walkę bytu. Widocznie Kaliński zapomniał o tych pierwszych warunkach, chowając

swego pięknego jedynaka. Może należał on sam do niedołężnego pokolenia, które nic zgoła wytworzyć nie potrafiło, może widząc wady og ólne, nie miał siły z nich się otrząsnąć. Może na wspak pojęciom, stanęła mu miękkość serca, dość, że patrzał na syna ze smutnem pobłażaniem, jakby wady jego były tylko niewinnemi figlami, nie grożącemi niczem w przyszłości, a on dostrzegając w prawdzie złe, nie miał żadnego pojęcia o jego doniosłości.

Ignaś zwyczajem zepsutych dzieci doskonale znający ojca, poznał odrazu przewagę swoją.

—Już ja z pewnością zdam egzamin, powtórzył po chwili, niech się tylko zabiorę do pracy, wszak zdolności mi nie brak.

— Tem gorzéj, że ich marnujesz, wtrącił ojciec, który czuł się w obowiązku wypowiedzieć tę sentencyę. Syn wysłuchał jéj z oznakami uszanowania, choć w gruncie rzeczy wiedział doskonale, że to sentencya tylko i nic więcéj. Przecież chcąc uwolnić się od morałów, które według jego przekonania zarówno nudzić musiały, wypowiadającego je z obowiązku ojca, jak i jego, który je słuchać musiał, wyrzekł:

— Proszę ojca, ja będę się uczył, skoro taka twoja wola, ale doprawdy nie wiem dobrze, na co mi się to przyda? Wszak można żyć szczęśliwie bez żadnego uniwersyteckiego stopnia, wszak ojciec nie jest doktorem prawa, ani filozofii, a przecież....

— I cóż ztąd? przerwał Kaliński, którego czoło zasępiło się nieznacznie.

— Nic! mój ojcze, tylko ja przestałbym zupełnie na poważaniu jakie ojca otacza, i nie mam innéj ambicyi jak żyć swobodnie, szczęśliwie, powiększając majątek, jak się to ojcu udało.

Jednak te proste wyrazy synowskiego uznania, zrobiły niespodziane wrażenie na panu Arnoldzie. Twarz jego pobladła, bruzdy bólu wyryły się na niéj gwałtownie.

— Ignasiu, zawołał, a w głosie jego był wyrzut, ale zatrzymał się nagle i tylko oczy jego zamgliły się, głowa pochyliła na piersi niby przygnieciona jakimś tajemniczym ciężarem.

—Co mój ojcze? zapytał Ignaś, zajęty wyłącznie sobą. Kaliński nie był w stanie odpowiedzieć, myśli jego odbiegły od syna i tonęły gdzieś, w przeszłości dalekiéj lub w mgle przypuszczeń i przywidzeń. Uśmiech pierzchł na długo z ust jego, a ścięte wargi zdawały się wstrzymywać wyrazy, które gwałtem się na nie cisnęły.

Jakkolwiek Ignaś nie był fizyognomistą i mało baczył zazwyczaj na to co działo się koło niego, przecież zrozumiał w końcu, że coś dziwnego działo się z ojcem. Przyszło mu więc na myśl, że zaszedł zbyt daleko w swych rozumowaniach, a ponieważ właśnie miał się udać do ojca o małą pomoc pieniężną, gdyż pomimo hojnéj miesięcznéj pensyi, kieszeń jego była bardzo wyczerpaną, zrobił pokorną minkę i spytał:

— Czy gniewasz się na mnie mój ojcze? Czemże obrazić cię mogłem?

Przez ten czas Kaliński przyszedł trochę do siebie.

— Nie obraziłeś mnie Ignasiu, odparł smutnie.

— Więc cóż się stało?

— Nic! mój synu, wyrzekł Arnold powracając siłą woli do przedmiotu rozmowy. Pamiętaj o tem, że ja byłem młody ćwierć wieku temu, a społeczeństwo idzie naprzód i coraz więcéj wymaga od członków swoich. Pomyśl zresztą, dodał z niejakiem wahaniem, że ja sam może poczułem brak téj gruntownéj wiedzy, któréj nie posiadam, i dla tego chciałbym znaleść ją w tobie.

Ignaś skrzywił się nieco, na tę naukę, tak niebacznie wywołaną. Powiedział sobie w duchu, iż jest to zła taktyka przypominać ojcom ich niedobory i zmienił ją odrazu.

— Przepraszam ojca, wyrzekł z przymileniem wszak ja rozumowałem tylko, a z góry przyrzekłem że uczyć się będę, skoro tylko taka twoja wola.

— Chciałbym, odparł ojciec, by do tego skłaniał cię także własny rozum.

— Chłopiec uśmiechnął się wesoło.

— Cóż ja zrobię, wyrzekł, skoro mój rozum jak go ojcze łaskawie nazywasz, ma wady swojego wieku? A potem wszakże to karnawał, sam mówiłeś nieraz, że w młodości rozrywki potrzebne.

— Zdaje mi się, że ty na ich brak przynajmniej uskarżać się nie możesz.

— O nie, nie, zawołał Ignaś z zapałem, tylko jeśli mam się uczyć w poście na zabój, to w karnawał tak samo bawić się powinienem, tak przynajmniej mówi loika.

Kaliński uśmiechnął się znowu.

— No, no, wyrzekł łagodnie, baw że się dobrze i ucz tak samo.

— Tak mój ojcze, mówił chłopiec prowadząc dalej dowodzenie, które mu się tak dobrze udawało, tylko że dodał skromniej, do zabawy koniecznie potrzeba pieniędzy.

— Czyż ich nie masz poddostatkiem; Ignasiu, Ignasiu. To co ja ci daję, na fantazye, wystarczyłoby z pewnością na utrzymanie nie jednej rodziny.

— Cóż ja tak wielkiego wydaję? zawołał, przecież muszę stosować się do położenia jakie zajmuję, do towarzystwa w jakiem żyję. Doprawdy, że jakieś tam pięćdziesiąt rubli na miesiąc wystarczyć nie może, a jeszcze ojciec chce bym się z tego ubierał i książki potrzebne kupował.

—Czyż na nowy rok nie zapłaciłem twego rachunku u krawca? Co do książek, niestety wcale nie widzę byś się na nie rujnował.

— Ojciec był tak dobry, że zapłacił za mnie te sto rubli na gwiazdkę, ale doprawdy ja na swoje wydatki wystarczyć nie mogę. Pan Adolf za same rękawiczki płaci Jeziorowskiemu do dwóch tysięcy rocznie, a ja nieraz w pranych chodzić muszę.

— Pan Adolf nie powinien być wcale dla ciebie wzorem do naśladowania.

Te słowa uderzyły przykro Ignasia. Modny młodzieniec wywierał na niego urok nadzwyczajny, ale mając ważne przyczyny nie sprzeciwiania się ojcu wyrzekł oględnie.

— Tak, zapewne, za wzór go brać nie można, chyba w rzeczach gustu, a przecież tylu ludzi zapatruje się na niego.

— Z równą słusznością możnaby zapatrzyć się na lalkę z wystawy fryzyerskiej; pan Adolf ma jej wszystkie zalety.

— Pierwszy raz widzę cię złośliwym mój ojcze, mówił śmiejąc się Ignaś.

Widocznie chciał przeciągnąć rozmowę, bo raz przebywszy fazę morałów, miał nadzieję otrzymać od ojca to czego żądał.

— Ale spodziewam się dodał, że przynajmniej okrutnym dla mnie nie będziesz, i dodasz mi coś na niezbędne karnawałowe wydatki.

(d. c. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

ŻYCIE KOPERNIKA I HISTORYA ODKRYCIA UKŁADU ŚWIATA.

PRZEZ

Kamilla Flammariona.

(Vie de Copernic et historie de la decouverte du système du monde, par Camille Flammarion. Paris Librairie Academique, Didier et Co. 1872.

przez

Joannę Belejowską

Znany ten z wielu dzieł swoich uczony (1) napisał to miłe dla nas dziełko z okoliczności czterechsetnej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Wiadomo że wierni zaborczemu duchowi swemu Niemcy, pragnęli przywłaszczyć sobie nieśmiertelnego naszego ziomka, dowodząc wszelkimi sposobami, że był pochodzenia niemieckiego. Długi czas udawało im się jakoś obałamucać umysły, ale nareszcie prawda odniosła tryumf, i dziś (dzięki mianowicie pracom śp. Adryana Krzyżanowskiego, Szulca i Julijana Bartoszewicza) polska narodowość Kopernika stanowczo dowiedzioną i powszechnie uznaną została. Flammarion też żadnej pod tym względem nie dopuszcza wątpliwości, i wykazuje jak w całem życiu Kopernik był istny Polak. Tak więc Niemcy, chociaż zaciecie wojowali piórem przez całe lata, nie udało im się jednak zabrać nam i zdobyć dla siebie jednego człowieka, twórcy tegoczesnej astronomii, Mikołaja Kopernika, a którego żadną łzą nie zaćmiona sława długie wieki przyświecać będzie.

Ponieważ dziełko Flammarion'a ma wyjść niezadługo w przekładzie polskim (2) ograniczymy się więc w tem sprawozdaniu na pobieżnym tylko zarysie, zastanawiając się głównie nad szczegółami, odnoszącemi się do życia i osobistości Kopernika.

Zajęcie, jak to słusznie mówi autor, jakie w nas budzi życie nieśmiertelnych geniuszów, którym ludzkość zawdzięcza świetne zdobycze na drodze postępu ztąd głównie wynika, i że badając dzieje tych bohaterów historyi intelektualnej, badamy i poznajemy jednocześnie filozoficzny i społeczny stan epoki, która im zawdzięcza swą sławę, oceniamy o ile oni przyczynili się do rozwoju nauki i wiedzy, i jakie uczyniliśmy postępy od czasu ich zejścia. Sąd nasz może być sprawiedliwszy i więcej niezależny niżli sąd współczesnych; możemy bowiem bezstronnie badać i rozbierać metodę, jaką się oni posługiwali dla odkrycia prawdy. Osobistość, choćby najsławniejszej znakomitości historycznej, budziłaby małe bardzo zajęcie lub jałową tylko ciekawość, gdyby nie byłaże tak powiem, ramą, w której mieszczą się fakta historyczne przedstawione w swej żywotnej działalności i rzeczywistej prawdzie. To też życie Kopernika, tak jak je napisał Flammarion, nie jest prostą tylko biografią sławnego reformatora, ale zarazem obrazem porównawczym starożytnej i tegoczesnej

(1) Dzieło jego „*Wielość światów zamieszkanych* przełożone na język polski, wyszło obecnie w drugiem już wydaniu, nakładem Gebethnera i Wolfa.

(2) Nakładem nowej księgarni Ungra i Banarskiego z popiersiem Kopernika.

astronomii, przedstawieniem dochodzeń, dzięki którym pracowity astronom podstawił prawdziwe zasady w miejsce skomplikowanych zawikłań dawnego systematu z pozorów.

W pierwszym rozdziale, cofając się do najodleglejszych wieków, Flammarion podaje pierwotne pojęcia starożytnych o układzie wszechświata, oparte jedynie na świadectwie zmysłów. Pojęcia te odpowiadają wyobrażeniom jakie tworzyła sobie dziecinna nasza wyobraźnia, bo też pierwotna ludzkość podobną była do słabego i nieumiejętnego dziecięcia.

Zapatrzonemu w niebiosa wydają się one, jakby błękitne sklepienie nieco kuliste i spłaszczone rozpostarte nad ziemią, w której środku on sam stoi. Tak mniemały i najstarożytniejsze ludy, dopokąd nie poznały innych krain też same przedstawiających złudzenie. Na zapytanie, jaka może być odległość miejsca, w którem niebo dotyka horyzontu? nie umiano odpowiedzieć, gdyż w którąkolwiek zwrócono się stronę, zawsze horyzont ten w jednakowem przedstawiał się oddaleniu. Na czem wspiera się ziemia? pytanie to zaledwie śmiano postawić, a długo nikt nie probował nawet przypuszczalną udzielić odpowiedź. Nareszcie spostrzeżono że słońce, księżyc, gwiazdy wschodzą, przesuwają się po nad naszemi głowami, zachodzą i znów nazajutrz pojawiają się na wschodzie, wywnioskowano tedy: że ciała te muszą koniecznie przechodzić *pod* ziemią. Z początku mniemano, że głębokość ziemi jest nieskończona; następnie powstało przypuszczenie, że wspiera się na górach i kolumnach, pomiędzy któremi ciała niebieskie przechodzić mogą swobodnie. Lecz tu znów z kolei wywiązywało się pytanie: na czemże wspierają się owe podpory? a że nikt nie mógł dać zadawalniającéj odpowiedzi, powstało przekonanie, że wszystkie wyż podane teorye są tylko obejściem, a nie rozwiązaniem zadania, i jednocześnie zwolna, stopniowo zrodziła się myśl, że sklepienie niebieskie obraca się w około nas w przeciągu 24 godzin: że gwiazdy pozostają w równéj od nas odległości, przytwierdzone do sklepienia, które uważano za stałe, aż nakoniec zaczęto przypuszczać: że ziemia jest kulą bez żadnego oparcia, utrzymująca się w pośrodku wszechświata, i otoczona ze wszech stron sferą niebieską.

Systemat ten utwierdzony został postrzeżeniami, czynionemi nad okrętami płynącemi na morzu, i dowodzącemi, że ziemia jest okrągłą, gdyż w miarę oddalenia statki te najpierw znikają od dołu, a później dopiero pokład, żagle i maszty. Nareszcie gwiazdy zachodzące w północnéj stronie i ukazujące się w południowéj podróżnikowi, który z naszych stref dąży ku równikowi, okrągły kształt cienia, jaki ziemia rzuca na tarczę księżyca podczas jego zaćmienia, oto dwa jeszcze dowody utwierdzające w mniemaniu, że zamieszkujemy kulę umieszczoną w pośrodku gwiaździstéj sfery.

Później postrzeżono: że niektóre gwiazdy zamieniają swe położenie odnośnie do innych gwiazd, jak np. Venus, świetna gwiazda *wieczorna* i *poranna*, ukazująca się przy wschodzie i zachodzie słońca. Drugą taką ruchomą czyli błąkającą się gwiazdą jest Jowisz, największy ze wszystkich planet, zwolna odbywający swą drogę na około nieba w przeciągu lat 12. Daléj mniéj świetny od dwóch powyższych Mars, mający uderzająco ciemno-czerwonawe światło, przebiegający niebo w przeciągu lat dwóch; czwartą planetą był Saturn, niekiedy bardzo świetny, przesuwający się tak powolnie po niebieskiéj przestrzeni, iż potrzebuje 30 lat do jéj przebycia. Nareszcie później dostrzeżono jeszcze piątą gwiazdę ruchomą, Merkurego, ukazującego się już to wieczorem na wschodzie, już to rankiem na zachodzie, mniéj świetną niż Venus, mniéj oddalającą się od słońca, a trudniejszą do odróżnienia i rozpoznania. Gwiazdy te przezwano *planetami* czyli błąkającemi się, dla odróżnienia od gwiazd *stałych*, pozostających zawsze w jednem położeniu.

Słońce dopiero po 365 dniach i kwadransie jednym ukazuje się na temże samem na niebie stanowisku, wyobrażano sobie tedy, że łączy się z kołem oddzielonem od sfery gwiaździstéj, w któréj wnętrzu w przeciągu roku obraca się od wschodu ku zachodowi. Księżyc odbywa podobny obrót w 27 dniach i blizko 8 godzinach: przyczepiono go także do koła, umieszczonego bliżéj ziemi i obiegającego swą drogę w tymże przeciągu czasu; kombinacya tego ruchu z ruchem słońca tłómaczyła odmiany czyli lunacye spełniające się w dniach 29-ciu i ½. Do tych dwóch kół dodano jeszcze pięć dla wyż wymienionych planet.

Taki układ wszechświata przedstawiało niebo i ziemia, tak jak się oczom naszym wydaje i takie też o nim pojęcie wytwarzało się u rozmaitych ludów, przechodząc od pokolenia do pokolenia. Z jednéj strony z Azyi wschodniéj, tej kolebki naszéj historyi, przeszło na zachód do Chin, z drugiéj na południowschód do Chaldei i Egiptu. W kolei wieków, artystyczna i rozumna Grecya, stojąca na wysokim stopniu świetności, przejąwszy te zasady z Egiptu, rozwinęła je i uzupełniła własnemi spostrzeżeniami; daléj Judea przyjęła tenże sam system astronomiczny.

Ale najznakomitszym astronomem w starożytnych czasach był Hipparch zwany Nicejskim, od rodzinnego miasta Nicei, w Bitynii. Jak niesie podanie żył on w pierwszym wieku przed Chrystusem. Hipparch pierwszy spostrzegł że wszystkie gwiazdy zdają się mieć ruch równoległy do ekliptyki, i nie gwiazdom, ale punktom równonocnym, od których rachują się długości, ten ruch przypisywał. Można go uważać za prawdziwego założyciela matematycznej astronomii; przed nim sztuka obrachowań nie istniała, a sztuka obserwacyi zaledwie powstawać zaczęła. On także ułożył pierwsze tablice ruchów słońca i księżyca, stwierdził, że słońce nie znajduje się corocznie w jednem na niebie położeniu w chwili wiosennego porównania dnia z nocą, lecz cofa się poza gwiazdy, także gwiazdy, które w pewnej chwili w ciągu roku widzimy n. p. na południe, w następnym roku nie znajdują się zupełnie w tem samem położeniu i również jak dostrzegane na północy, zmieniają powoli stanowisko, tak iż z jednéj strony równik, a z drugiej biegun poruszają się powoli, ziewalając tym sposobem niebo gwiaździste do przebycia całkowitego obiegu w przeciągu 25,870 lat. Dziś, wielki ten obrót nieba, nazwany cofaniem punktów równonocnych, przypisywany dawniej samemu gwiaździstemu sklepieniu, odnosimy do ruchu ziemi. Tak więc też same spostrzeżenia, na których zbudowano niegdyś systemat nieruchomości ziemi i ruchu nieba, stanowią obecnie podstawę systematu obrotu Ziemi.

Arystoteles, najgłębszy myśliciel, filozof i naturalista grecki uro. 384 przed N. Chr. w Tracyi, w mieście Stagira, przedstawił i starał się udowodnić systemat pozorów. Napisał on prawdziwą encyklopedyę wiedzy ludzkiej, w której astronomija pierwsze zajmuje miejsce. Aż do XVI wieku wszyscy uczeni uznali go swoim mistrzem i ślepo wierzyli wszystkiemu, co się mieściło w jego dziełach. Dowodził on o ile się to dało najjaśniej, że Ziema utrzymuje się nieruchomie w środku wszechświata, że jest najcięższą z żywiołów, musi więc koniecznie zdążać do swego centrum. Ogólny i szczegółowy ruch wszystkich sfer niebieskich pochodził z niewyczerpanego źródła, nieodłącznego od Istoty najwyższych niebios, oznaczonych nazwą Pierwszego Ruchu. Po nad niebem gwiazd stałych i owego Pierwszego Ruchu, roztaczała się ostatnia, najrozleglejsza sfera, zamykająca wszystkie inne, zwana *niebem empirejskiem*. Niezmierna ta sfera, po za którą *nic* już nie było, zakreślała granice wszechświata.

Ten układ wszechświata traktowany był obszernie w oddzielnej księdze Klaudyusza Ptolomeusza, zwanej *Almagesta* (wielka). Wielki ten geograf, matematyk i astronom, żyjący w pierwszej połowie IIgo wieku po nar. Chr. zebrał wszelkie dawniejsze, jako też własne spostrzeżenia i ułożył je w systemat, zwany po dziś dzień systematem *Ptolomeusza*. Księga ta była przez całe wieki, jakby artykułem wiary dla jego następców.

Według układu Ptolomeusza, ziemia stoi nieruchoma wśród jedenastu wydrążonych kul kryształowych, które znajdując się w różnej od siebie odległości, zawarte są jedna w drugiej. Na każdej powierzchni takiej wydrążonej kuli poumieszczał ciała niebieskie; najbliżéj znajdował się księżyc, dalej Merkury, Wenus, Słońce, Mars, Jowisz, Saturn, na ósméj wszystkie gwiazdy stałe. Dziewiątem niebem był Pierwszy Ruch, nakoniec dziesiątem niebo empirejskie, w którem przebywa Bóstwo.

Taki systemat pozorny wydaje się bardzo prosty i zgodny z dostrzeżeniami, jednak rozbierany drobiazgowo utrzymać się nie zdoła. Aby podobnie zbudowany wszechświat mógł się poruszać w około ziemi, potrzebaby warunków mechanicznych, jakie nie istnieją. I tak ziemia musiałaby być cięższą od słońca i ważniejsze zajmować stanowisko niż cały układ słoneczny, co bynajmniéj nie ma miejsca. Daléj, gwiazdy musiałyby znajdować się w innéj niż rzeczywiście znajdują się od nas odległości, słowem świat musiałby być całkiem inaczej stworzony. To też w miarę jak spostrzeżenia astronomiczne, stawały się coraz liczniejsze i dokładniejsze, zaczęto dostrzegać niedostateczność powyższego systematu i uzupełniać go najrozmaitszemi dodatkami i poprawkami.

Arystoteles i Ptolomeusz, zgodnie ze wszystkimi filozofami oznajmili, że koło jest najdoskonalszą figurą geometryczną, zatem że ciała niebieskie, boskie i nie podlegające zepsuciu, w kołach jedynie mogły się obracać wokoło kuli ziemskiej. Trzymając się tej zasady, starożytni astronomowie chcąc dokładniej oznaczyć obroty ciał niebieskich, musieli obmyślać coraz nowe koła, tak iż w kolei wieków, potworzono ich nie wiedzieć ile, poobsadzanych jedne w drugie.

Dopiero w XV-ym i na początku XVI-go wieku zaczęła się ustalać metoda doświadczalna; znaleźli się uczeni dość niezależni w swych zdaniach i przekonaniach, aby nie taić, iż ani Arystoteles ani Ptolomeusz nie zadawalniają ich w zupełności, i nowe czyniąc badania i doświadczenia, stali się niejako poprzednikami nieśmiertelnego Kopernika.

Pierwszym z astronomów pragnących naukowego odrodzenia astronomii, był Jerzy Purbach albo *Peurbah*, tak nazwany od miasteczka tegoż nazwiska (w Austryi), w którem się urodził r. 1423 (†1461) Chcąc wytłomaczyć trudne do pojęcia drogi planet, widział się zmuszonym posunąć dawny system, do ostatnich następstw materyalnych i nauczał o *niebach stałych* kryształowych. Nie dość na tem, zamiast trzymać się przypuszczenia, iż każda planeta łączy się z powierzchnią własnego swego kryształowego koła, wymyślił dla każdego dwa po-

dobne sobie koła, między któremi planeta porusza się jak między dwoma murami, i dla tego nie może wyjść ze swéj drogi.

Uczeń i następca jego na katedrze astronomji; w uniwersytecie wiedeńskim, Jan Müller, zwany Regiomontanus, (ur. w Królewcu 1436 †1476) uzupełniał spostrzeżenia swego mistrza. O ile się zdaje oba przypuszczali obrót ziemi.

Fracastor (ur. w Weronie 1483 r. † 1553) pracował jednocześnie z Kopernikiem nad wytłomaczeniem układu świata, ale i on, także równie jak Purbach, posunął tylko do ostateczności hipotezę Ptolomeusza.

Gdy astronomowie wysilali się nad pojęciem i wytłomaczeniem ruchu ciał niebieskich, nie odstępując od przestarzałej hipotezy nieruchomości Ziemi, nieśmiertelny Krzysztof Kolumb odkrył Nowy-Świat. Kula ziemska roztaczała się teraz wszechstronnie przed błąkającą się po manowcach nauką, a umysł ludzki poznawszy bezpośrednio i sprawdziwszy doświadczeniem sferyczność kuli ziemski ej i jéj odosobnienie w przestrzeni, zdobywał główną podstawę przysposabiającą do pojęcia obrotu Ziemi.

Była to epoka, w której zbiegły się szczęśliwie nader ważne dla ludzkości wydarzenia i odkrycia. Gama i Magellan wsławili się wyprawami morskiemi Kolumb odkrył Amerykę, a Kopernik wówczas uczeń znakomitego profesora uniwersytetu krakowskiego, Alberta Brudzewskiego, czynił i zbierał różne spostrzeżenia astronomiczne, niby pojedyncze cegiełki, z których miał powstać kiedyś wspaniały gmach nowoczesnéj astronomji. Nieśmiertelne dzieło Kopernika De Revolionibus orbium celestium (O obrotach ciał niebieskich) któremu poświęcił kilkadziesiąt lat mozolnej pracy, pierwszy raz ogłoszone zostało drukiem w 1543, i tegoż roku Vésale, twórca anatomji ludzkiéj, wydał dzieło swoje *De Corporis humani fabrica.*

Widzimy więc iż jeszcze w niezbyt odległej starożytności, gdyż już za czasów Franciszka 1, Medyceuszów i Henryka IV uznawano powszechnie systemat pozorów, wierzono w nieruchomość kuli ziemskiéj i obrót niebios. To proste i nieokreślone pojęcie, przetrwało po dziś dzień w umysłach nieokrzesanych tłumów, a prawdę mówiąc, jakże to dziś jeszcze w ogóle mało osób pojmuje dokładnie i jest przekonane o obrocie ziemi, o prędkości i skutkach jej ruchu. Zastanawiając się nad mechanicznemi warunkami naszkicowanego wyżej systematu pozorów, Kopernik wywnioskował: że układ tak zawikłany i niezręczny nie może być naturalnym, gdyż Przedwieczny wszelkie dzieła swoje cechuje najdoskonalszą mądrością i prostotą. Po 30 latach pracy i obserwacyi, przekonał się, iż nadając ziemi ruch podwójny, jeden *obrotowy* dzienny, drugi *postępowy* roczny, można tym sposobem wytłomaczyć większą część ruchów nieba, dla czego właśnie natworzono taki ogrom kół kryształowych. Genialny astronom potrafił zbadać ogólny plan przyrody, odkrył system swój współczesnym uczonym, i nareszcie przed samą śmiercią ogłosił drukiem. Od chwili ukazania się tego nieśmiertelnego dzieła najznakomitsi astronomowie uznali genialność systematu Kopernika, rozwinęli go i uzupełnili, dowodząc niemylności tej jego tak prostej, a przecież tak długo nieznanej i zaprzeczanej prawdy, iż nie słońce około ziemi, ale ziemia obraca się około słońca.

Streściwszy systemata astronomiczne do czasów Kopernika, Flammarion przystępuje do biografji nieśmiertelnego naszego ziomka.

(d. c. n.)

DANTE, WERGILI

I BEATRYCZE

(Dalszy ciąg.)

Dla dobrego zrozumienia opisu ostatnich uroczystości, które poeta przedstawia wyobraźni czytelnika, trzeba się postawić w podobnem co on położeniu.

Wychodząc z dziś już zapomnianego, lecz w wiekach średnich ogólnie przyjętego systematu astronomicznego Ptolemeusza, Dante podzielił krainę niebios na dziewięć sfer spółśrodkowych, obracających się w około ziemi i rozszerzających się w miarę oddalenia się od niej. Dziewiąta, zawierająca w sobie wszystkie ośm i ruch im nadająca, zowie się dla tego pierwszym motorem. Po nad tą dziewiątą sferą, będącą życiem i końcem światła materyjalnego jest niebo empirejskie, oświetlone już nie światłem ziemskiem, lecz chwałą bozką; tam przebywa Bóg na wieki z błogosławionemi. Gdy poeta, dostawszy się na szczyt pierwszego motora, spuszcza wzrok swój poniżej siebie, świat nasz wydaje mu się ogromnym ostrokręgiem wywróconym, na spodzie zaś znajduje się ziemia, gdy zaś przeciwnie podniesie oczy ku temu niebu empirejskiemu, otwiera się nadprzyrodzony świat duchów czystych i także pod postacią ostrokręgu; lecz tu już ostrokrąg zamiast się zwężać, oddalając się od pierwszego motora, przeciwnie rozszerza się coraz bardziej w rozmiary nieskończone. Ostrokrąg ten ma także dziewięć sfer oznaczonych nie jak w systemacie astronomicznym Ptolomeusza drogami planet, lecz obrotami dziewięciu chórów anielskich naokoło Boga, ogniska odwiecznego światła i środka przyciągania.

Tu, zdawało się, poeta powinienby się był zatrzymać; tu, zdało się, że obraz zanadto myśl ścieleśni. Lecz genijusz Dante'go ośmielił się sięgnąć tych nawet szczytów istnienia, myśl przedsiewzięła uduchownić obraz i nigdy może, ani wprzód, ani dotąd wyrażenie poetyczne nie wyniosło się do czystości doskonalszej, z siłą śmielszą i większą potęgą słowa. Niebo było otwarte, punkt światły objawił się, a świecił blaskiem, jakiego żadne nie wytrzyma oko.

Nagle ujrzałem punkt, promieniejący
Blaskiem tak ostrym, że wzrok zaogniony
Przed ostrzem jego zamykać się musiał.
Gwiazda co stąd się najdrobniejszą zdaje,
Księżycem by się obok niego zdała,
Jak postawiona gwiazda obok gwiazdy.
A jak odległym wieniec się być zdaje
Od światła które maluje go samo,
Kiedy się zgęszcza zawarta w niem para;
W takiej oddali od owego punktu
Ogniste koło wirowało chyżo,
Że i najskorszy ruch w około świata,
Łatwoby, zda się, prześcignęła w biegu.
Koło to, drugiem opasane było,
A drugie trzeciem, trzecio zasię czwartem,
Czwarte znów piątem, dalej piąte, szóstem,
A jeszcze dalej siódme tak szeroko
Biegło, że nawet posłanka Junony
Zamknąć je w sobie nie byłaby w stanie;
Za nim też ósme, a za tem dziewiąte;
I każde coraz wolniéj się ruszało,
Im dalsze liczbą od piérwszego było;
A najjaśniejszym świeciło płomieniem
Najmniej odległe od iskry przeczystéj 1)

W chwili, gdy wieszcz uderzony tym widokiem, zawisnął między podziwem a zwątpieniem, ktoś doń przemówił. Była to Beatrycza.

Od tego punktu, rzekła, zależy niebo i przyroda cała 2)

. . . . . . , kręgi jak żarami
Grzane żelaza—trysnęły iskrami,
A każda iskra w wzajemnym uścisku
Tworzyła iskrę większego połysku.
Iskier tych liczba rosła nieskończenie
Jako warcabne kostki przez mnożenie;
I chór do chóru, słyszałem, Hosanna
Szła do stałego punktu, co je dzierży
I dzierżyć będzie wiecznie na tem miejscu
Na którém wszystkie od wiek wieków stały 3).
To Bóg!

Dwa koła, najwięcéj zbliżone do przeczystej iskry, mówi mu Beatrycza, oznaczającą Cherubinów i Serafinów; z nadzwyczajną szybkością obracają się około punktu przyciągającego je, chcąc się mu jak najbardziéj upodobać, a otrzymać to mogą jeno w miarę podniosłości swego wzrostu. Te inne miłości, po za niémi zwą się „Tronami oblicznośći Boga" (XXVIII. 109). Wiedz o tem, że duchy te, tem się bardziéj radują, im głębiéj wzrok ich poznaje prawdę „w któréj się umysł uspakaja wszelki"... (w. 113). Te zastępy, rozwijające się w wiekuistéj wiecznéj wiośnie, któréj nie mogą szkodzić jesienne wiatry ni chłody rzucają w niebo ciągły okrzyk: Hosanna! w trzech różnych chórach, złożonych z trzech rodzajów radości. Tam to znajdują się trzy wielkie rodziny niebieskie, trojakie bóstwa: najprzód Państwa, potem Mocy, a w trzecim rzędzie Potęgi. W dwóch przedostatnich kołach obracają się księztwa i archaniołowie; ostatnie ożywia gra aniołów.

Nagle widok się zmienia. Chwała boska ma się ukazać oczom poety pod postacią cudowniejszą jeszcze.

. . . Niebo z przyjściem słońca służebnicy
Zagasza gwiazdy aż do najpiękniejszéj;
Podobnie zwolna gasł ten tryumf święty,
Grać i kołować bez przerwy nawykły .
W krąg punktu, który pełen tajemnicy,
W tem co zamyka zda się być zamknięty.
Więc nic nie widząc, miłością naglony
Ku Beatryczy obróciłem oczy.
Gdyby się wszystko com rzekł dotąd o niéj,
Połączyć dało w jeden hymn jéj chwały,
Na ten raz jeszcze byłoby za mało.
Bo Krasa, jaką w niéj teraz widziałem,
Nie tylko nasze pojęcie przenosi,
Lecz jestem pewny, że Ten co ją stworzył,
Samby nią w pełni zachwycać się zdołał (4)

Jasność ta była oznaką nowego wzniesienia się.

Po nad sferami niebieskiemi, po nad dziewiątem, niebem, które wszystkie te sfery w wir swój ogniowy pochwyca, znajduje się niebo empirejskie, światło czyste, światło duchowe: pełne miłości, miłości dobra

1) Raj, XXVIII 16—38. Przekład p. Stanisławskiego.

2) Raj, XXVIII. 41—42.

3) Raj, XXVIII. 90—97. Pierwsze sześć wierszy są przekładu p. Korsaka następne tłomaczenie p. Stanisławskiego.

4) Raj, XXX. 7—21. Pierwsze sześć wierszy są prze kładu p. Korsaka, następne, tłomaczenie p. Stanisławskiego.

rzeczywistego, źródła wszelkiéj radości i słodyczy nad wszelkie słodycze, wstąpili więc do téj krainy pobytu błogosławionych niebian.

. . . . ona do mnie przemówiła znowu:
Otośmy wyszli z największego koła,
Wznosząc się w niebo, co jest światłem czy-
[stem.
Światłem duchowem, a Miłości pełnem,
Miłości dobra, a pełnem wesela,
Wesela, które jest nad słodycz wszelką.
Tu masz oglądać rajskie dwa zastępy,
A jeden właśnie w tych samych postaciach,
Które na sądzie ujrzy ostatecznym,
Jak błyskawica nagła, co rozprasza,
Widzenia władzę i pozbawia oko
Możności dojrzeć największe przedmioty;
Tak mnie rażąca jasność ogarnęła,
J taką blasku spowiła zasłonę,
Że się mem oczom nic nie przedstawiało.
— „Zawsze podobnie wchodzących tu wita,
Miłość, dająca pokój temu niebu
By jej płomieniem zażegła się świeca.
. . . .
I obaczyłem światło, jako rzekę
Blaskami lśniącą, a oba jej brzegi
Wiosennym kwieciem umajone cudnie.
I rzeki tej iskry wznosiły się żywe,
I ze stron obu osiadały w kwiatach
Niby rubiny złotem okolone;
Potem, jakoby upojone wonią,
W cudownej znowu nurzały się toni,
A skoro jedne wchodziły do głębi,
Natomiast z niej się wynurzały inne.
. . . .
. . . . . Rzeka i topazy,
Co się nurzają w niej i wynurzają,
I uśmiech kwiecia,—to zwiastuny tylko
Rzeczywistości, którą zasłaniają.
Nie są to rzeczy same przez się trudne,
Ale jest raczej wina z twojej strony,
Że oczy twoje nie dość jeszcze śmiałe 1).

Ostrzeżony przez przewodniczkę swoją i słuchając jej rozkazu, Dante zbliża się do tajemniczej rzeki i nachylając się, przemywa w niej oczy, ażeby je wzmocnić.

Ledwo je rzęsą musnęła powieka,
Z długiej okrągłą wydała się rzeka:
Jak ci, od których lic maska odpadła,
Zdają się inne mieć barwy i szaty,
Gdy rzucą obce, kryjące ich twarze;
Tak się zmieniły w uroczyste blaski
Iskry i kwiaty,—i ujrzałem jawnie
Oba zastępy niebieskiego dworu
O blasku Boga, przy którym widziałem
Królestwa prawdy tryumf najwznioślejszy
Daj moc, com widział, opowiedzieć wiernie!
Jest tam wysoko światło, które Stwórcę
Widzialnym czyni dla tych tworów Jego,
Co w tem widzeniu tylko pokój mają;
A w tak bezmierne rozlega się koło,
Że obwód jego zbyt szerokim pasem
Byłby zaiste dla samego słońca.
Co zeń widome, jestto promień jego,

1) Raj XXX 38—54; 64—69 i 76—8. Przekład p. Stanisławskiego.

Na szczycie Primum Mobile odbity,
Które ztąd życie i moc swoją bierze,
A jak pagórek w wodę u podnóża,
Spogląda, jakby chciał widzieć swą krasę,
Kiedy jest strojny w zieloność i kwiaty,
Podobniem widział, po nad światłem w koło,
Z tysiąca stopni spoglądały dusze,
Które z pośrodka nas tam powróciły 1).

Potem, kiedy wzrok wieszcza cudownie wzmocniony przeniknąć mógł ten punkt, co go olśnił na początku, widział w nim wszystko, wszystkie tajemnice stworzenia, zebrane w jednej wiązce, jakby oprawione w jedną księgę to, co kartkami rozrzucone jest po świecie. W tym samym punkcie, w głębokości jego objawiły mu się trzy kręgi, równe w obwodzie, rozmaite w barwie, drugi, jakby ogniem wybuchał z dwóch drugich; to była Trójca Przenajświętsza! Krąg drugi, im pilniej się weń wpatry wał, nie tracąc pierwotnej barwy, zdało się, malował w swoim środku wizerunek człowieka. To symbol Wcielenia Słowa. I w chwili kiedy silił się pojąć to cudowne widzenie, wieszcz, przejęty niezwykłą radością poznał że je pojął. W wytężonem wysileniu ducha nie mógł oczu oderwać od punktu, w którym całe szczęście do jakiego wzdycha żądza ludzka, było zebrane. Chęć jego i wola łagodnie pociągane, weszły w końcu w ruch harmonijny powszechnego porządku. Poczuł w sobie dzieło uświęcenia. Na raz wszystkie tajemnice odsłoniły się przed nim w bezpośredniem poczuciu; w téj chwili myśl wyłączyła z siebie rozumowanie i przypomnienie; był to stan ducha, na określenie którego mowa ludzka nie ma wyrazu; było to zupełne uczestnictwo ztą filozofiją świętych i aniołów, będącą w samym Bogu: miłość bez granic, mądrości bez granic!..

. . . Więc w kształcie róży białéj, pełnéj
[blasku
Ujrzałem świętych wojaków szeregi,
Które krwią swoją Chrystus Pan poślubił,
Inni, latając opiewali chwałę,
Tego, którego miłują, bo wielcy,
Są łaską Jego. Jak rój pszczół na kwiaty,
Pada, to znowu, do ula powraca;
W którym się słodycz pracy jego mieści,
Oni lecieli, na olbrzymiéj róży,
Liść niezliczony, i od niéj wracali,
Tam, gdzie ta miłość od wieków przebywa,
A skrzydła złote, a postać tak biała,
Iż żadne śniegi bielsze być nie mogą,
Kiedy w głąb kwiatu po stopniach spadały,
Ze skrzydeł pokój i ogień strząsały,
Którym się bożym nakarmiały łonie,
A rój tu lecąc nie zaćmiewał sobą
Ni kwiatu blasków, ani kształtów kwiatu 2)
. . . .
. . . . Przenikając wzrokiem jasność żywą
Widziałem oczy swe po stopniach kwiatu,
To w dół, to w górę, to znowu do—koła
Widziałem lica miłością przejęte,
Ozdobne światłem i uśmiechem własnym,
A ich postawy strojne w zacność wszelką 3).

Przyjrzawszy się niebiańskiemu dworowi, Dante chce przemówić do Beatryczy i zwraca się ku niej.

1) Raj, XXX. 87—114. Pierwsze cztery wiersze są przekładu p. Korsaka następne tłomaczenie p. Stanisławskiego.
2) Raj XXXI. 1—20. Przekład p. I. J. Kraszewskiego. Patrz *Biblioteka Warszawska*. 1866. I. 389.
3) Raj, XXXI. 46—51. Przekład p. Stanisławskiego

W miejscu, gdzie stała, widzi wspaniałego starca „Gdzie ona"? woła poeta, a starzec mu tłomaczy, że Beatrycze kazała mu zejść z tronu i przysłała go dla zadowolenia życia Dantego, i że jeżeli podniesie wzrok do trzeciego rzędu najwyższéj hierarchii duchów niebieskich, ujrzy ją, siedzącą śród Tronów. Nie odpowiadając, poeta wznosi oczy i widzi Beatryczę wieńce sobie wijącą z promieni odwiecznego światła na niej odbitego, a widzi postać jej wyraźnie, choć oddalenie od jej tronu jest tak wielkie, jak odległość dzieląca śmiertelnika z głębin Oceanu do sfer, gdzie piorun się tworzy. Wzywa swej wspaniałomyślnéj a wiernéj przewodniczki która nań z uśmiechem spogląda, a potem zwraca się do źródła wiecznego światła. 1)

Poważny starzec, zastępujący Beatryczę, jak ta zastąpiła była Wergilego,—to św. Bernard; po filozofii nastąpiła teologija dogmatyczna, a teraz teologija mistyczna prowadzi duszę w ostatnich jej popędach ku najwyższemu Pięknu. W tym stopniowym postępie widzimy głęboką umiejętność pod każdym względem, gdyż gra poezyi zgadza się wybornie z nauką Ewangelii świętej.

Rzeczywiście, z jednej strony, wedle Pawła świętego (I, ad Corrinth. XIII, 8 13) miłość jest największą z cnót teologicznych; pozostaje w niebie, gdzie ustaje już wiara i nadzieja; ta miłość właśnie jest przedmiotem teologii mistycznej. Z drugiej zaś strony ta nauka zapatrywania się i zachwytów miłości bożej ma śmiałość i wolność, których nie posiada nauka dogmatyczna, trzymająca się podań apostolskich i surowych określeń Kościoła. Ona ma swe osobiste objawienia, poezyją serca, pobożne przedstawienia, unoszące duszę ku Bogu, kiedy pochodzą z dogmatu i przemieniają go nie sprzeciwiając się mu; w poemacie to właśnie Beatrycze posyła św. Bernarda.

(d. c. n.)

1) Tamże, w. 52—93.

Korespondencja.

Pani Felicyj D. kołnierze futrzane do salop i w tym roku będą małego fasonu. Cena skonksowego wraz z mufką, rs 25. Kapelusz aksamitny z piórami kosztuje od rs 10 do 15.— Za rs. 50 może bydź suknia balowa z krepy, ładnie przybrana.—Koronki stosownie do gatunku dostać można półłokciowej szerokości od rs. 1 do rs 3.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz

Dodatek

ZŁOTY KLUCZYK

przez

OKTAWIUSZA FEUILLET.

I.

Wprowadzamy czytelnika do pałacu barona de Chesny, i wbrew powszechnie przyjętym zwyczajom zamiast w godzinach przeznaczonych na pierwsze wizyty, wchodzimy tam po dwunastéj w nocy.

Cały pałac jaśnieje przepysznem oświetleniem, w salonach szeroko otwarte wielkie balkonowe okna prowadzące do ogrodu, ukazują nam przepyszny park oświetlony kolorowemi lampami, a wspaniały peron pałacu przystrojony jest w najrzadsze egzotyczne kwiaty, upajającą woń roztaczające w około. Rój gości uwija się po salonach, a zdobiące ich bukiety z mirtu i pomarańczowego kwiatu, dają nam poznać że to drużyna weselna. Jakoż przed kilku godzinami odbył się ślub pięknej, bogatej, ośmnastoletniej wnuczki barona, Zuzanny de Chesny z Raulem d'Alhol.

Opuśćmy wspaniałe salony i mijając główną aleję parku, zwróćmy się do ukrytego w cieniu i tylko dalekim odbłyskiem światła rozjaśnionego nieco jaśminowego gaiku, i posłuchajmy rozmowy pięknéj panny młodéj, z ulubioną starą piastunką, która ją wychowała.

A śliczną była urocza dziewica w ślubnem ubraniu i przejrzystej, wiotką jej kibić otaczającéj zasłonie.

— Chodź, Joanno, pójdźmy do ulubionego mego gaiku.

— Ależ panienko...

— Panienko!.. cóż ty wygadujesz..,

— Ach! prawda....pani!.. pani!.. od kilku już godzin...to zabawnie doprawdy,—nigdy nie przyzwyczaję się tak cię nazywać. Ale czegoż chcesz teraz odemnie?

Właśnie doszły do gaiku, Zuzanna zatrzymała się przy wejściu, i obejrzawszy się w około jakby z obawy aby kto nie usłyszał, pochyliła się do ucha Joanny, i rzekła z tajemniczą miną:

— Joanno! jestem bardzo szczęśliwa!

I łzy zabłysły w jéj oczach.

— Daj Boże! drogie dziecię, abyś do ostatniéj chwili życia mogła powtarzać te słowa!

— O! moja dobra, poczciwa Joanno, nie mogłam wytrzymać dłużej, musiałam wypowiedzieć tajemnicę, która mi pierś rozsadzała.....Jam bardzo szczęśliwa. Dawno już szukałam ciebie aby się z tobą tem szczęściem mojem podzielić, bo przekonana jestem, że nikt nie kocha mnie więcéj od ciebie. O! nigdy nie zapomnę że od chwili przyjścia mego na świat, ja wszystkiem byłam dla ciebie; tyś mnie wypiastowała, ty dziecinne i młodociane lata moje najtroskliwszą otoczyłaś opieką...ty starałaś się być matką sierocie...

— O dzięki ci za te słowa, drogie, kochane dziecię...

— Siadajmy na tej ławeczce i przypomnij sobie, ukochana, coś mi w tem samem miejscu powiedziała rok temu.

— Doprawdy, nie wiem o czem chcesz mówić.

— Było to późnym wieczorem...rozmarzona i czegoś smutna siedziałam tu na tej ławeczce, i wsparłszy głowę na dłoni w cichej zatonęłam zadumie. Zamyśliłam się tak głęboko, iż nie słyszałam żeś weszła i usiadła przy mnie ... ocknęłam się dopiero na dźwięk twego głosu. Przyjdzie mi podobno rozstać się z moją ukochaną Zuzanką, rzekłaś z westchnieniem— i biorąc mnie za rękę, dodałaś: Drogie dziecię, trzeba ci podobno pójść za mąż.

— Przypominam sobie ... pamiętam nawet żeś się za to trochę pogniewała na mnie.

— Tak jakoś z pierwszego dziwne mi się to wydało....i do dziś dnia nie pojmuję jak mogłaś lepiej odemnie saméj wiedzieć o czem myślałam.

— Masz tobie!.. wielka sztuka odgadnąć o czem myśli młode dziewczę!

— Dość że bardzo mnie to zmięszało i zawstydziło; widząc to przytuliłaś mnie do siebie, i pocieszałaś mówiąc: Nie ma w tem nic złego, pieszczotko moja, że myślisz o za mąż-pójściu wszak na to Pan Bóg stworzył mężczyzn i kobiety, aby się z sobą łączyli. Ale czy można wiedzieć jak się nazywa szczęśliwy wybraniec? czy brunet czy blondyn? a może to jaki zaczarowany książe?..Takiemi słowy ośmieliłaś mnie i uspokoiłaś... Ale cóż miałam odpowiedzieć, szczęśliwy wybraniec nie istniał wcale ... kochałam, ale nie kogoś, tylko coś nieokreślonego ... kochałam miłość. Nie poznawałam sama siebie, nie wiedziałam co się ze mną dzieje ... nic mnie nie bawiło, nic nie zajmowało, lubowałam się w samotności i smutku. Wstyd mnie było, iż stawałam się podobną do tych mdłych bohaterek romansów, z których sama wyśmiewałam się nieraz,—a jednak nie miałam siły walczyć z rozmarzeniem, które mnie zawstydzało lecz i upajało zarazem. Wprawdzie nie zaniedbywałam codziennych moich obowiązków, ale spełniałam je machinalnie sama nie wiedząc co robię Często zatopiona w rozkosznych marzeniach, dziwne roiłam rzeczy; przed wzrokiem mej duszy niepojęte przesuwały się widziadła, jakiś niewidzialny głos przemawiał do mnie—i biegłam do tej samotnej ustroni, aby napawać się jej uroczym dźwiękiem. Czasami znowu, bez żadnego powodu, jakiś ciężki ogarniał mnie smutek, ściskałam w dłoniach rozpalone czoło, rzewnemi rosząc łzami trzymane w ręku kwiaty.

— O! doskonale przypominam sobie.....to twoje usposobienie przeraziło mnie ogromnie i dla tego bez wahania wskazałam ci lekarstwo.

— To też od tej chwili nie taiłam przed tobą, dobra moja Joanno, że w pośród tych moich rojeń i widziadeł było jedno, którego najwięcej się obawiałam, a zarazem najgorętszem przyzywałam upragnieniem. Jakim sposobem obraz ten stawał przed memi oczyma, czy rysy te były jakiemś odbiciem pamięci, czy wieszczem, sercem, przeczuciem—nie wiem—dość że widziałam wyraźnie tę twarz uroczą dumną i smutną zarazem, którą ukazanie się moje słodkim opromieniało uśmiechem. A wymowne jego oczy zdawały się przyrzekać i obiecywać wszystko czego tylko kobieta może zapragnąć i szukać w swoim przyjacielu, mężu i władcy....czytałam w nich wielkiemi wypisane zgłoski: honor, dobroć, delikatność, umysł wielki i wzniosły!. Jednocześnie oczy jego zdawały się zdradzać głęboką jakąś boleść i o radości! ja jedna rozproszyć i odegnać ją mogłam. I powoli zbliżał się do mnie...dłoń jego dotykała mej dłoni....i serce rozpływało się w błogości...luby jakiś spokój całą moją ogarniał istotę....dusza uczuwała przedsmak niebiańskiego szczęścia. Słuchałaś mnie spokojnie, a gdy skończyłam mówiłaś: Dobrze, dobrze, moje dziecię, teraz tylko prośmy Boga, aby nam zesłał takiego o jakim marzysz!.. I widzisz ukochana, dobry Bóg wysłuchał modłów naszych, i urzeczywistnił marzenia moje, cudne urojenie zamieniło się w istotę żyjącą, i ten uosobiony ideał pokochał mnie i jest moim mężem!... Otóż wszystko to musiałam wypowiedzieć tobie i wszystkim otaczającym mnie tu świadkom dziewiczych rojeń moich...tym drzewom, tym kwiatom, tej nocy gwiazdzistej...Ach! jak ona piękna i urocza! jak cudne jest to jasne, pogodne niebo, ubrylantowane gwiazdami....jak ten bladawy księżyc spogląda na mnie, a taki smętny jakby mi zazdrościł szczęścia. Cóż to za upajającą woń ten jaśminowy gaik roztacza w powietrzu....jakiś rozkoszny dreszcz mnie przejmuje. Ach! jakże Bóg jest dobry!..jak ja cię kocham, Joanno!

— Tak, tak, mnie kochasz...rozumiem!.... odrzekła z uśmiechem.

— Ale wiesz co, ukochana, dziwna dręczy mnie trwoga, czy ja potrafię być jego godną!...

— Co też mówisz!..

— O! bo ty nie wiesz jaki on szlachetny i odważny. Pan Jerzy de Vernon, ten młody oficer co to przy stole siedział obok mojej ciotki, opowiedział mi jak z narażeniem własnego życia pan d'Athol...to jest Raul ocalił w Afryce jego brata.

— Czy pan Raul służył w wojsku w Afryce?

— Nie....tylko pojechał do Afryki odwiedzić swego przyjaciela i kolegę szkolnego, p. de Vernon— który właśnie gotował się do wyprawy, zapragnął więc towarzyszyć mu jako amator. To coś niepojętego ta odwaga mężczyzn!.. Potyczka miała miejsce w górach. P. de Vernon raniony spadł z konia, nagle spostrzegł że młody, ukochany brat jego, został otoczony przez dwunastu Arabów.

Osłabiony ubytkiem krwi, zdobył się na rozpaczne wysilenie, i zawołał: Raulu! ratuj mego brata!... Raul był na pobliskiem wzgórzu, o jakie dwadzieścia albo trzydzieści stóp wyżej, stał wtedy, na stroméj zupełnie prawie prostopadłéj skale. Usłyszawszy rozpaczliwy krzyk przyjaciela, zapomina o własnem niebezpieczeństwie, puszcza konia galopem, jak piorun wpada pomiędzy Arabów, walczy z nieustraszoną odwagą i ocala obydwóch.... pana Jerzego i jego brata.... Nie masz pojęcia z jakiem uwielbieniem p. de Vernon mówi o Raulu i bohaterskiéj jego odwadze, jak unosi się nad jego szlachetnością...... Czy ty pojmujesz co się w duszy mojéj dzieje, na samą myśl, że taki człowiek mnie kocha, że jest mężem moim?... o! to też ukochałam go wielką, bezgraniczną miłością....

— Kochaj go jak chcesz, drogie dziecię, nie mam nic przeciw temu, ale wierz doświadczeniu twojéj staréj Joanny, kochaj go, ale nie mów mu tego, a przynajmniej nie z takiem wylaniem jak to teraz powiedziałaś.

— O! możesz być spokojna, nie śmiałabym nigdy.... tak jeszcze mało się znamy... a jednak jesteśmy połączeni nierozerwalnémi węzły.... doprawdy

to trochę dziwne.... Ale za to jakiż to niewysłowiony znajdziemy urok w téj coraz zwiększającéj się poufnéj zażyłości, tóra codzień więcéj unosić będzie róg oboje nas pokrywającéj zasłony, aż do chwili, kiedy poznamy i zjednoczymy się tak doskonale, iż żyć będziemy jedną myślą, jedną duszą!... Co do mnie, jestem najpewniejsza, że ta upragniona w téj chwili rozpoczynająca się przyszłość, nie objawi mi nic czegobym teraz już nie odgadła, nic coby nieusprawiedliwiało najzupełniej jego tryumfu i mojé słodkiej niewoli..... A i co do niego—tylko nie posądzaj mnie o pychę—ale zdaje mi się, że w głębi mego serca kryje się nie jedna miła niespodzianka, i że otwierając mu księgę méj duszy, dozwolę mu wyczytać w jej kartach więcéj może, niźli się tam znaleźć spodziewał.....

— Prawdę mówiąc i w domu i w kościele wydawał mi się nieco za zimny.

— Co też mówisz, moja Joanno, miałże się rozczulać lub płakać jak kobieta?.... powiedz prawdę, zazdrościsz mu trochę....

— Tak,—tak!—ale cicho, ktoś nadchodzi.

W tejże chwili Zuzanna usłyszała odgłos dalekiej rozmowy i zbliżających się kroków, i zmięszana zerwała się z ławeczki.

W tem wietrzyk przyniósł jéj te słowa.

— Wieleż ma lat?

— Ośmnaście.

—Ach! to Raul i pan de Vernon, rzekła zatrzymując się.

— Chodźmy ztąd rzekła Joanna.

— O! nie, poczekaj, posłuchajmy trochę, odparła zaciekawiona.

— Zachwycająca, rzekł znowu p. de Vernon, jakiż to niewysłowiony powab rozlany w całéj jej postaci.

— Tak, ładna,—odrzekł Raul d'Athol.

— Chodźmy, zbliżają się w tę stronę, rzekła Joanna, pociągając Zuzannę.

— O nie! zostańmy!... zdaje mi się, że mówią o mnie... Takbym chciała wiedzieć..... wszak w tem nie ma nic złego.... przecież to mąż mój.... Nie sprzeciwiaj mi się, dobra Joanno, chodź, ukryjmy się po za temi drzewami.

II.

Powyższa rozmowa dała nam poznać pannę młodą, teraz z kolei poznamy pana młodego. Oto nadchodzi prowadząc się pod ręką z przyjacielem; idźmy za nimi i wzorem Zuzanny, posłuchajmy ich rozmowy.

— Gdzież tak znikła z salonu? mówił Jerzy de Vernon.

— Nie wiem, była odpowiedź. Ale mniejsza o to, nie mam się co spieszyć.... właśnie zasiedli do kart, możem więc porozmawiać swobodnie... Zresztą kazałem memu kamerdynerowi, aby mi dał znać gdy Zuzanna powróci do salonu.... Ale powiedz mi, kochany Jerzy, dla czego opuszczasz nas tak prędko; czy z konieczności lub też przez zbytnią delikatność?

— Jedno i drugie; urlop mój kończy się jutro. O któréj godzinie odchodzi pierwszy pociąg.

— O piątéj! Przyrzecz że mi przynajmniéj, że za dwa lub trzy miesiące, przyjedziesz do mnie na dłużéj, będziem polować.

— Za dwa lub trzy miesiące?... niech mnie Bóg broni, gotówbyś mnie znienawidzieć. Musiałeś przecie nie raz doświadczyć, jak śmieszną i nudną odgrywa rolę człowiek, co jak Piłat w Credo dostaje się na trzeciego między dwoje zakochanych.

— Jak to znać, że przybywasz z Afryki, kochany Jerzy. Dowiedz się, że w naszym dziewiętnastym wieku, trzy miesięczne sam na sam jest aż nadto zadawalniające, że przeto obowiązkiem jest przyjaciela przerwać jednostajność, któraby inaczéj mogłaby się stać zbyt nużącą i nudną.

— Nie zdaje mi się; gdybym miał żonę taką jak ty zamknąłbym się z nią w jakiéj niedostępnéj wieży, której progi wilczą otoczyłbym jamą.

— Ha! byłoby to samobójstwo jak i drugie, odrzekł poważnie Raul..... Usiądźmy na téj ławeczce ocienionéj jaśminem, który tak miłą woń roztacza..... No, więc żona moja tak bardzo ci się podobała, kochany Jerzy?

— Posłuchaj mnie, Raulu. W dniu w którym ocaliłeś życie mego brata a poniekąd i moje, zaniosłem do Boga gorącą modlitwę, jedną z tych jaka wydziera się z serca żołnierza w boju, w chwilach niebezpieczeństwa, zwycięztwa lub konania,—i korniе błagałem Pana Zastępów, aby dług mój przejmując, spłacił go obsypując cię najdoskonalszem szczęściem, jakie tylko może być udziałem śmiertelnych.

— Jakiś ty jeszcze młody! rzekł Raul, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela.

— A że sami nie zawsze wiemy coby prawdziwem dla nas było dobrem, więc w modlitwie mojéj nie oznaczałem czego pragnę dla ciebie, zostawiając woli Bożéj jakiem szczęściem ma cię obdarzyć!... Słuchaj Raulu, kiedy staliście przed ołtarzem, w tym wspaniałym kościele tchnącym religijnym majestatem, i sędziwy kapłan nierozerwalnym węzłem połączył wasze dłonie,—ogarnęło mnie jakieś niewypowiedziane uczucie, łzy zabłysły w mych oczach, błoga, nadziemska radość rozlała się w duszy, zadrżałem a głos jakiś tajemny szeptał mi, że Bóg wysłuchał mych modłów i dług mój ci spłacił.

— Hm!... odrzekł zimno Raul, wiesz mój drogi, że z podobnemi pojęciami powinienbyś koniecznie się ożenić!

— Otóż to bieda, że właśnie z podobnemi pojęciami nie mogę się żenić, bo nie przypuszczam abym znalazł drugą taką kobietę jak żona twoja.

— To mi się podoba!.. cóż przecie tak nadzwyczajnego upatrzyłeś w mojéj żonie?... nikt nie zaprzeczy, że ładna, miła, powabna, ależ nie ma się znów nad czem unosić....

— Nie udawaj, Raulu, bądź szczerym ze mną, wyznaj otwarcie,—a możesz być pewnym, że mnie to bynajmniéj nie zadziwi—przyznaj się, że szalejesz za tem uroczem dziewczęciem.

— Jerzy! jak możesz tak mówić!... czyż przez cały dzień dzisiejszy dałem ci powód posądzania mnie o podobną śmieszność?..

— Ależ, musisz przecie ją kochać skoroś się ożenił!...

— Doprawdy, zadziwiasz mnie, przyjacielu! Gdzie i jakim cudem mogłeś się tak uchować?... czy spadasz z nieba lub też przybywasz prosto z jakiejś nieznanéj, bajecznéj krainy, gdzie przechowały się jeszcze pierwotne, patryarchalne obyczaje i zwyczaje?— Sam pobyt w Afryce nie tłómaczy dostatecznie tych przedpotowych pojęć, biblijnych sentencyj i sielankowych wyrażeń, jakiemi mnie raczysz..... Cóż u licha, mój kochany, wieki Arkadyi już minęły... Dafnis dawno umarł..... No, czemuż patrzysz na mnie z takiem przerażeniem?... umarł to rzecz pewna, ale przecież ja go nie zamordowałem.

— Więc po cóżeś ją zaślubił, skoro jéj nie kochasz? odrzekł porywczo Jerzy.

— Ależ, kochany kapitanie, właśnie dla tego zaślubiłem Zuzannę, że nie jestem w niéj zakochany, i nigdy, przenigdy już się nie zakocham; ponieważ miłość, czy tam to co tak nazywamy, nie ma już w całéj swéj księdze ani jednego okresu, ani jednego słówka, ani jednéj literki, którébym się nie naczytał do woli, do przesytu, nareszcie ponieważ mam lat trzydzieści, a stary kawaler bardzo niepocieszną rolę odgrywa w świecie.... Nie patrz na mnie tak strasznemi oczami.... zachowaj gniew twój i oburzenie na dalszy ciąg zwierzeń moich. Trzy miesiące, pierwszy raz w życiu zwiedziłem majętność moją Vonzon, leżącą w pobliżu Orleanu. Dzierżawca mój Jan Bailly, oprowadzał mnie wszędzie, musiałem objechać z nim pola, las, pastwiska; dojeżdżając do granicy ujrzałem w oddali wspaniały pałac: Co to za pałac? zapytałem? Pałac de Chesny, odrzekł Bailly. A ten prześliczny lasek łączący się z ogromnym borem odwiecznych drzew, co tak dumnie wznoszą w niebo swe zielone korony? To park i las du Chesny, otacza on w około majętność pana i wszystkie te pola jakie tylko okiem dojrzeć można, do tychże dóbr należą. A wszystko to razem, pałac las i dobra, należą pewnie do jakiego Krezusa, dodałem. Bynajmniéj odrzekł poważnie Jan Bailly, wszystko to razem jest własnością panny Zuzanny de Chesny..... a po chwili, przymrużając oczy, powiedział jeszcze: Prześliczne to dobra, dobra ziemia, jeziora zarybione i lasy pełne najrzadszéj zwierzyny, a do tego czynią co najmniéj 20,000 fr. czystego dochodu.... O! możnaby przysiądz, że panna de Chesny nie będzie siać rutki...... Poczem położył palec na nosie i przymrużeniem oczu zakończył swoją domyślną namowę. Oto widzisz, mój drogi, jaki był prolog dramatu, którego ostatni akt zaszczyciłeś swoją obecnością i podpisem.

— Nigdy nie uwierzę, że jedynie dla tak marnych względów zaślubiłeś pannę de Chesny.

— Nie przeczę że sam już myślałem o ożenieniu, zanim Jan Bailly zwrócił zamiary moje do pewnego stale określonego punktu; nie przeczę także, i wiem że mi uwierzysz, gdy powiem ci, jeśliby panna de Chesny była brzydką lub.... ograniczoną, byłbym pewnie nie ożenił się z nią, pomimo jej pól, lasu i pałacu, lecz gdy poznawszy ją przekonałem się, że odebrała staranne wychowanie, że się dobrze ubiera, ma dobre ułożenie, umie się dobrze przedstawić i wysłowić, wtedy nie wątpiłem, że zdoła wzbudzić we mnie szacunek i to spokojne, trwałe uczucie, jakiego człowiek uczciwy nie może odmówić matce swoich dzieci.

— W każdym razie nie mogę pochwalić twego postępowania, oszukałeś ją, to się nie godzi.

— Oszukałem? co przez to rozumiesz, kapitanie?...

— Czy sądzisz że to młode dziewczę, o którem mówisz prawie z lekceważeniem, to dziewczę tak powabne i urocze, wzór wykwintności, elegancyi i zarazem wdzięcznéj prostoty, nic więcej nie oczekuje, nie spodziewa się od ciebie jak szacunku i owego jakiegoś jak się wyrażasz, trwałego uczucia?

— A czegoż więcéj miałaby się spodziewać? Zuzanna była wychowana na żonę i gospodynię, i to może najwięcéj mi się w niej podobało. Mój drogi, dla niej małżeństwo jest sobie małżeństwem, mąż po prostu mężem i nic więcéj.

— Ależ ta, jak mówisz, gospodyni, nie ma jeszcze lat dwudziestu, a z pięknych jej oczu tryska ogień młodości, a czyliż każde młode dziewczę, a szczególniéj wychowane w dostatkach i bezczynności, nie marzy o mężu kochanku i gmachu swego z nim pożycia nie buduje gdzieś w obłokach?

— Więc gdyby nawet tak było, czyż moja w tem wina? więc dla tego że panny tak przewrócone mają w głowach, mamże wyrzec się małżeństwa i zostać starym kawalerem?....

— Raulu! zawołał p. de Vernon, zrywając się nagle, a postrzegłszy że tenże pochylił się i uważnie czegoś szuka, dodał po chwili. Czy co zgubiłeś?

— Nic. . nic... a! już mam. Patrz, jeśli dojrzysz ten mikroskopijny klejnocik, jest to maleńki kluczyk złoty, który żona ofiarowała mi dziś rano bardzo tajemniczo i uroczyście..... zdaje się, że to jakiś skarb nieoceniony. W każdym razie wolałbym żeby mnie była nie obdarzała podobnym podarunkiem, nudzą mnie podobne śmieszności.

— Dość już tej rozmowy, żegnam cię.

— Jakimże głosem to powiedziałeś! czy gniewasz się na mnie?

— Nie gniewam się, ale słowa twoje wielką sprawiają mi przykrość. Raulu, od lat piętnastu jesteśmy najlepszymi przyjaciołmi, ścieśniłeś jeszcze te drogie węzły, kiedy z narażeniem własnego życia ocaliłeś życie mego jedynego brata, a mnie rannego zachowałeś od arabskiéj niewoli, wtedy zaprzysiągłem ci dozgonną wdzięczność... jednak lękałbym się zapomnieć o tem, gdybym dłużéj słuchał cię prawiącego z takiem lekceważeniem o najświętszych uczuciach, tak lekceważącego szczęście a może i honor twej żony.

— Oj! ci wojskowi, ci wojskowi! doprawdy krew wasza musi być nasycona prochem, a słowa ostre jak stal, rzekł Raul z akcentem szyderstwa w głosie...

— Bądź zdrów, odrzekł sucho Jerzy, i powstał prędko.

— Jerzy, odrzekł Raul z mocą, zniżając głos i przytrzymując go, zanim odejdziesz, połóż na chwilę rękę twoją na sercu mojem, może ta dłoń szlachetnego i prawego człowieka, przeleje w nie choć trochę ciepła i młodości.

— Co ty mówisz, Raulu!

— Mówię, że możesz mnie kochać, gdyż jestem tylko nieszczęśliwy, ale nie nikczemny. Ta mowa moja, która tak słusznie razi ciebie, człowieka z gorącem, kochającem sercem, mnie wydaje się bardzo naturalną.... i już od dawna inaczej wyrażać się nie umiem i już od dawna mowa taka stała się bezczelną maską, pokrywającą dziką rozpacz, szarpiącą głębię mej duszy... a maska taka nigdy nie była potrzebniejszą, bo nigdy nie czułem tu straszniejszej próżni i otchłani zawołał, gwałtownie uderzając się w piersi.

— Przerażasz mnie, Raulu, jakąż to straszną tajemnicę ukrywałeś dotąd przedemną?

— Nie mam żadnej tajemnicy, odrzekł złamanym głosem, tylko żyłem i przeżyłem się... O! stokroć byłoby lepiej gdyby mnie było dotknęło jakieś straszne nieszczęście, wtedy miałbym odwagę walczyć i cierpieć... a dziś upadam pod brzemieniem bez nazwy ani ratunku, nikt nie jest mocen zmienić przeszłości, a ona to właśnie mnie zabija.... A przecież w przeszłości tej nie ma nic nadzwyczajnego, ja tylko używałem młodości i uciech bez miary i wędzidła, żyjąc wśród towarzyszy bez moralności i wiary,. więcéj nad to ani sam sobie, ani nikt zarzucić mi nie może... a jednak gdzież mnie to doprowadziło... jakże nizko upadłem...

— Wszystko co mówisz jest dla mnie tak dziwnem i niepojętem, iż prawie cię nie rozumiem.

— Nic dziwnego, bo też od chwili wyjścia z uniwersytetu życie nasze tak odmiennym poszło torem: ty poszedłeś świętą drogą obowiązku i służenia krajowi... ja zaś... Ale najpierw powiedz mi czy pamiętasz jakim byłem wtedy, jakim byłem przed dwunastu laty?

— Jakim byłeś wtedy Raulu? takim jakim cię znajduję znowu w téj chwili, człowiekiem z umysłem wyższym, ze szlachetnem i gorącem sercem, z duszą wzniosłą, kochającą, pełną zapału i uniesień, zdolną do największych poświęceń, godną miłości i przyjaźni.

— Zbyt to pochlebne, zbyt stronnicze zdanie, kochany Jerzy, zawsze jednak dowodzi, że musiały być we mnie dobre skłonności, które właściwie pokierowane, ujęte w karby zasad i obowiązku, mogły rozwinąć się w piękne przymioty, cnoty, a może i talenta, i świetną zapewnić mi przyszłość.. Próżniacze i bezcelowe życie zniszczyło i rozproszyło wszelkie dobre zarody, dziś może już i śladu po nich nie zostało.., Nie będę ci opisywał nader trywialnych dziejów próżniaczego życia rozpustnika, ani zwykłych jego następstw, ale warto zastanowić się nad zgubnym, fatalnym wpływem, jaki wywiera w ogóle duch tegoczesnej epoki. Zdaje mi się, że trzebaby chyba cofnąć się myślą, aż do owego bezładnego chaosu poprzedzającego wieki średnie, aby znaleźć epokę w którejby jak w obecnej tak bardzo zapomniano prawo opatrznościowe rządzące światem moralnym i intelektualnym, to jest wszelką władzę, moralność i wiarę. Uważałeś zapewnie, że aby władze naszéj duszy i umysłu, mogły wznieść się aż do cnoty lub do geniuszu, potrzeba im koniecznie pewnego nacisku z góry, na którym nigdy więcej nie zbywało jak dzisiaj... Mamy też same władze i skłonności co ojcowie nasi, ale brakuje nam poruszającego je motoru, brak podmuchu, wiatru, któryby stale nadymał nasze żagle. Los nasz równa się losowi okrętu, którego rudel i maszty pozbawione steru, ulegają zmiennym, a często zgubnym powiewom wichru lub rozhukanych bałwanów, a tak co miało stanowić jego siłę i zbawienie, staje się narzędziem jego zguby. I my pozbawieni punktu oparcia puszczamy na oślep wodze namiętnościom, i okręt ginie bez sternika, my ludzie bez Boga!... I są tacy co nazywają to wolnością!.... jeśli tak jest to wolność ślepego...

— O! masz słuszność, jest to największą zbrodnią naszych czasów, że sponiewierano i spotwarzono nawet święte miano wolności...

— A więc pod tym przynajmniéj względem zgadzamy się zupełnie. Wierzaj mi, Jerzy, nie należę do rzędu tych ludzi, co przez nienawiść do anarchji i swawoli, wyrzekają się wolności i wielkich nieodstępnych od niéj dobrodziejstw, — ale z drugiej znowu strony nie rządzę się także, zbyt dziś pospolitą marną i bezrozumną pychą, nakazującą zapierać się wszelkiej wiary, zasad i moralnej karności, nie wyłączając wiary w Boga, czci własnej matki i miłości ojczyzny, uważając to wszystko za jakieś przestarzałe serwituty feodalne... Szaleńcy! nie wiedzą że to uczucia, obowiązki, te wiekuiste jarzma, które wstrząsają i zrzucają, są właśnie niezbędnym warunkiem naszej siły, są zasadniczą dźwignią wielkości ludzkiej, — i chcąc usuwać zapory, obalają podstawy. Otóż to świat w jakim żyłem, i jakkolwiek głośno go potępiam, jednak żyjąc jego życiem, przesiąkłem zabójczemi jego zasadami. Kto raz do tej zgubnej dostanie się matni, jeśli chce ostatniej uniknąć zaguby i ustrzedz od skażenia, wrodzone szlachetne przymioty i dobre skłonności, jeden tylko pozostaje mu ratunek, jedyna ucieczka—praca! Ten obowiązek indywidualny jaki sobie tworzymy, nie zdoła wprawdzie zastąpić wielkich i zasadniczych, wspólnych wszystkim obowiązków, które sam tylko użyźniający przymus może podnieść aż do bohaterstwa lub geniuszu, ale przynajmniej skłania duszę naszą i umysł do zbawiennego jakiegoś skupienia, i jeśli nie podnosi ich do wysokiej potęgi, strzeże przecież od bezwzględnego rozkładu. Otóż żaden obowiązek, żadna praca nie strzegły mojej młodości, a próżniactwo, samo przez się złe i zgubne w każdym czasie, dziś śmiertelne zadaje rany. Daruj, kochany Jerzy, tę długą i nudną rozprawę, ale chciałem zarazem dać ci poznać mój upadek i jego powody.

— Niesłusznie spotwarzasz i poniżasz sam siebie drogi mój Raulu; wierzaj mi, pozioma i sponiewierana dusza nie umiałaby osądzić się tak surowo, skażone i przewrotne serce nie zdobyłoby się na tak bohaterskie poświęcenie i zaparcie siebie, jakiego dałeś mi dowody.

— Łudzisz się, Jerzy; jak strącony z nieba archanioł, znam głębokość otchłani w jaką spadłem, ale równie jak on o wydźwignieniu się z niej nie myślę, wydaję na siebie wyrok, ale poddaję się karze i nie obiecuję poprawy. Przyjaźń twoja, wspomnienie razem spędzonych lat młodocianych, spowodowały ten napad szczerości, odkryłem ci rany mej duszy ale mimo to pozostaną one nieuleczone, i za chwilę znów będę czem byłem, i tak słowa jak uczynki moje nawet wbrew woli mojej pozostaną na zawsze nacechowane przesytem, zniechęceniem i pychą. Muszę ci jeszcze wyznać, że nawet to moje, jak nazywasz, poświęcenie, nie tak bohaterskiem by ci się wydało, gdybyś wiedział do jakiego okresu życia mego odnosi się. Wtenczas to właśnie w hulaszczem i rozpasanem życiu jakiemu rzuciłem na łup młodość moją, nastała pauza, chwila ocknienia, przychodząca zwykle najbardziej nawet rozkiełznanym ludziom,— zawstydziłem się mojej słabości i upadku, pogardzałem sam sobą. I ogarnął mnie jakiś szał niewysłowiony i uczułem się dość silnym, aby powstać z upadku i rozpacznym wysiłkiem odzyskać samego siebie.

Upatrywałem więc sposobności spełnienia jakiegoś wielkiego czynu poświęcenia lub bezgranicznego zaparcia siebie, sposobności stania się męczennikiem wielkiej jakiej i świętej sprawy! Ale zimny oddech wieku zmroził i wysuszył wszelkie ożywcze źródła, w którychby dusze odradzać się mogły,—gdzie wszelka wiara wymarła, poświęcenie i ofiara stają się niemożliwe, a drogi jakie dawniej wiodły do wzniosłości dziś do śmieszności tylko prowadzą. Przekonałem się o téj prawdzie, poznawszy niemożliwość najdziwaczniejszych zamiarów jakie roiłem; ale gdy przyjechałem do ciebie do Afryki, nie byłem jeszcze wytrzeźwiony z moich mrzonek i to tłomaczy ów niebezpieczny skok ze skały, który poczytujesz za jakiś czyn bohaterski, a który śmiało można zaliczyć do owych rycerskich koziołków, jakiemi Don Quichotte wprawiał w podziw naiwnego Sancho.

W każdym razie spełniłeś czyn szlachetny, który powinien był uspokoić cię i pogodzić z samym sobą.

— Bynajmniéj! do zmazania méj przeszłości, potrzeba było wyższego, a szczególniéj dłużéj trwającego obowiązku. Czy społeczeństwo nie mogło mi do niego nastręczyć sposobności, czy ja nie umiałem jéj uchwycić—nie wiem—dość, że po kilku miesiącach próżnych wysiłków i niepokojów, wróciłem do dawniejszego trybu życia, i już obojętnie spadałem na najniższe szczeble skażenia i zepsucia. Dziś te burze i walki świadczące przynajmniéj, że były jeszcze we mnie ślady siły i cnoty, zupełnie ustały, lawa zastygła, płomień zagasł—jestem spokojny!

Powiedziawszy te słowa zamilkł i głowę opuścił na piersi.

Jerzy spoglądał na niego z współczuciem i rzekł po chwili: Zdaje mi się, że ktoś idzie..... uspokój się.

— Może mnie szukają!.... a posłuchawszy, dodał: Nic nie słychać.... zdawało ci się. Jednak nieobecność moja trwa już dość długo..... czyżby już zapomniano o mnie?... Ale mniejsza o to! jeszcze kilka słów mam do powiedzenia Słuchaj, Jerzy, opowiedziałem ci historyę moją i wielu innych, ale brak jéj jeszcze końca... Zapytywałeś pocom się ożenił, otóż dowiedz się, że chciałem jeszcze jedno, ostatnie

zrobić doświadczenie. Zdawało mi się, że małżeństwo jest dla mnie jedyną może deską ocalenia; że stanie się dla mnie chrztem odradzającym; że w zetknięciu z czystem dziewiczem sercem, krew moja się odnowi i dusza odżyje,—nakoniec obiecywałem sobie, że czyste wzruszenia, zaczerpane w samem źródle prawa moralnego, zdołają jeszcze może zmyć ze mnie piętno sromoty i wskrzesić dobre zarody.

— Więc tedy?... zapytał niespokojnie p. de Vernon...

— Więc tedy, kochany Jerzy, zawiodłem się najzupełniéj. Zuzanna jest ładne, dobre, poczciwe dziewczę, przyznaję, że warta szacunku i miłości, ale wszystkie te jéj powaby nie zdołają stworzyć potęgi zdolnéj zatrzeć ślady méj przeszłości... .. Niestety! ileż to razy sam jéj widok wywołuje najgorsze moje wspomnienia, i tym sposobem sama pobudza je do współzawodnictwa.... Ileż to razy, jéj ruchy, rysy, wyrażenia, jakiemi w niewinności duszy się posługuje—przypominają mi...... nie śmiem powiedzieć kogo..... biedne dziewczę!.... ale doprawdy zdaje się, że jakiś duch złowieszczy szepcze mi do ucha najohydniejsze porównania, najnieszczęśliwsze podobieństwa, mocą których widzę w niéj tylko tuzinkową kopję dziesięciu innych..... kobietę—i nic więcéj!..... Jestem oburzony....

— Nie mówmy o tem. Powiedz mi tylko jeszcze czy sam ślub, ten tak uroczysty obrządek odbywający się w obliczu Boga, nie poruszył cię do żywego, żadnego nie zbudził wrażenia?

— I owszem—tylko, że całkiem inny niż się spodziewałem,—odrzekł Raul, ze zwykłym już sobie tonem zimnego sarkazmu. I tak: gdy ów tak trywialnie opasły urzędnik stanu cywilnego, tłustą swoją ręką tworzył pierwsze ogniwa naszego związku, a następnie jakiś nieznany mi kapłan, w obec licznie zgromadzonéj gawiedzi, pra wił mi jakąś mowę, którą już Bóg wie komu wygłaszał przedemną, przyznam ci się, iż zdawało mi się, iż wszyscy razem odgrywamy jakąś pocieszną komedyę, i o mało, że zamiast uroczyście poważnéj miny, głośnym nie parsknąłem śmiechem..... Nie pomyślałem tego, mój Jerzy, że do wszelkiego cudu—a takim byłoby moje odrodzenie—potrzeba koniecznie wiary... wiary która już dawno zamarła w méj duszy..... to też od téj chwili wyrzekam się stanowczo wszelkich daremnych prób i pokuszeń...... Ale już późno, druga wybiła; dłuższa nieobecność moja mogłaby zwrócić uwagę zebranych gości, a jest między nimi kilka rzadko pociesznych exemplarzy... Bywaj zdrów, kochany Jerzy.

— Żegnaj mi Raulu; doprawdy nie wiem kto z was dwojga większego wart pożałowania.

— Niewątpliwie ja, mój drogi. To niewinne dziewczę nie ma nawet pojęcia o podobnych szkaradach, a nie możemy boleć nad tem czego nie znamy.

— Odjeżdżam, ale proszę cię, Raulu, pisuj do mnie często, pragnę wiedzieć jakie będą następstwa waszego związku,—bo mimo to wszystko nie mogę przestać cię kochać.

— Dzięki ci, kochany. Będę pisywał kiedy chcesz, ale jakież mogą być następstwa?... wszakże już po wszystkiem.... Dobranoc i do prędkiego widzenia.

Uścisnęli się i każdy poszedł w swoją stronę.

III.

Wróciwszy z ogrodu, Zuzanna po krótkiej rozmowie rozstała się z Joanną i weszła do swego pokoju. Zrzuciła z głowy wieniec i welon, blada i chwiejąca się usiadła na kozetce, i wsparłszy głowę na ręku w głębokiéj zatonęła zadumie. Po chwili westchnęła, załamała ręce i chwytając złoty krzyżyk zawieszony na jéj szyi, gorącemi okrywała go pocałunkami. W tem lekko zapukano do drzwi; Zuzanna drgnęła i lekko brwi zmarszczyła, a gdy drzwi zwolna się otwarły, przerażona zerwała się z siedzenia. Kiedy Raul wszedł do pokoju i zwolna postąpił ku niéj, spuściła oczy i jakby mimowolnie cofnęła się od niego. Raul zatrzymał się, mówiąc łagodnym, jakby błagalnym głosem:

— Uciekasz odemnie, Zuzanno?.., lękasz się mnie?..

— Nie!—odrzekła podnosząc głowę i spoglądając na niego.

— I słusznie.... bo ja to raczéj lękać się powinienem. Pochylam głowę przed twoją młodością i wdziękiem.... piękność twoja niepokoi mnie... Będę bardzo, bardzo zazdrośnym.. Jakim ty wzrokiem spoglądasz na mnie, Zuzanno?... Czyś nie słaba, rzekł biorąc ją za rękę,—tak jesteś blada i drżąca?...

— To nic!.. odrzekła krótko.

Raul podał jéj rękę i poprowadził do stojącéj nieopodal kanapki; idąc zatrzymał się patrząc jéj w oczy z uśmiechem. Gdy usiadła zajął miejsce obok niéj.

— Zuzanno moja, rzekł po chwili milczenia, w obec Boga i ludzi jesteś moją żoną, ale powiedz, czy serce twoje uznaje mnie za małżonka?

— A pan? czy kochasz mnie?

— Jakto, pani moja, odrzekł zawsze z jednakim uśmiechem,—jesteś jeszcze tak niezarozumiałą lub już tak niedowierzającą?... Dość spojrzeć na ciebie aby zostać twoim niewolnikiem, ale, niestety najdłuższe życie człowieka nie starczyłoby na zerwanie tych więzów.

— Czy szumny ten frazes ma znaczyć, że mnie pan kochasz?

— Dziwna istota! odrzekł, spoglądając na nią nieco zdziwiony, tak, kocham cię, kocham więcéj niż mi się to zdawało możliwem.

— I dla czegoż się pan uśmiechasz?.. czyż nie możesz powiedzieć mi tego poważnie?

— Poważnie i czule powtarzam ci, że cię kocham śliczna czarodziejko.

— Dobrze,—przynajmniéj jesteś pan grzeczny. Chciałam przekonać się do jakiego stopnia bezczelności można posunąć się na drodze kłamstwa,—rzekła wysuwając mu rękę—a gdy Raul zerwał się gniewnie spoglądając na nią, dodała: Ach! przecież zrzuciłeś pan maskę! po raz to pierwszy ukazałeś mi właściwą twarz swoją....

— Szalona jesteś! zawołał gwałtownie.

— O! nie lękaj się pan, odrzekła łagodnie i smutnie, nigdy jeszcze nie byłam rozsądniejszą; będę umiała okazać się spokojną, i proszę chciéj mnie naśladować. Wracam z ogrodu gdzie przypadkiem słyszałam całą rozmowę pana z przyjacielem; Bóg mi świadkiem, że nie przypuszczałam, aby niewinna ciekawość moja, tak ważne pociągnąć miała za sobą następstwa. Nie szukałam smutnego światła, jakie słowa pana zrodziły w mojem umyśle; może powinnam żałować że się tak stało, ale teraz nie podobna już tego odwołać, a nie potrafię wypowiedzieć, jak bardzo pogardzałabym sama sobą, gdybym po takiej przestrodze nie cofnęła się przed owem poszłuszeństwem, które przyrzekłam nie wiedząc o niczem.

Podczas tych słów Zuzanny, Raul niespokojnie przechadzał się po pokoju, zatrzymując się niekiedy przed nią; gdy przestała mówić, zapytał:

— Więc cóż pani postanowiłaś?

— Zupełnie nie znam prawa, i dla tego proszę powiedz mi pan szczerze: czy jest jaki sposób, aby nie narażając się na wstyd i pośmiewisko, rozerwać słabe, łączące nas węzły.

— I ja nie jestem zbyt biegłym prawnikiem, jednak śmiało ręczyć mogę, że każdy krok w tym przedsięwzięty celu, wystawiłby nas na nieuniknony skandal.

— A jednak małżeństwo nasze jest czystem urągowiskiem,—nie może być ważnem.

— Proszę powiedz mi pani, kto ci tak przewrócił w głowie? kto ci poddał tak szalone myśli, tak niepojęte słowa,—zapytał, nagle zatrzymując się przed nią...

— Zdaje mi się, żeś mnie pan źle, fałszywie osądził, i to nie pod jednym względem, odrzekła poważnie i łagodnie. Wprawdzie serce moje zbyt jeszcze młode, zaledwie zbudziło się do życia, ale z resztą zbyt niekorzystne masz pan o mnie wyobrażenie. Bezmierna pycha każe ci wnosić, iż rozmowa twoja z panem de Vernon, tak nieskończenie przewyższa rozum i pojęcie kobiety w moim wieku, iż, zdaniem twojem chyba ktoś trzeci musiał wytłomaczyć mi jej znaczenie—ale mylisz się pan, upewniam cię, że zrozumiałam doskonale, bez niczyjej pomocy. A potem świat i życie nie jest mi znów tak obce jak sobie pan wystawiasz.

— Doprawdy!... niechże wiem co za wieszczka tak dobrze i tak wcześnie oświeciła panią we wszystkiem?

— Tą wieszczką, skoro podobało się panu tak ją nazwać, jest stara moja piastunka, którą znasz pan przecie.

— Służąca, rzekł pogardliwie.

— Tak, tylko służąca—którą jednak więcéj od wielu panów szanuje i poważam. Ona to mnie wychowała i macierzyńską miłością ukochała sierotę, jej to zapewnie rozsądkowi i prostaczemu przywiązaniu zawdzięczam pewną dojrzałość i energię, któréj nie raczyłeś pan dopatrzeć we mnie. Nadto, już od lat kilku, dzieckiem jeszcze prawie, zostałam panią domu, a chociaż stanowisko to nie uczy nas żadnych nadzwyczajności, jednak zmuszając młode dziewczę do poważnych nawyknień i zajęć, wyzwala nieco młodociany umysł z otaczających go osłonek. Obok młodocianych rojeń zaczynamy zastanawiać się nad wszystkiem, i powoli nabieramy właściwego o wielu rzeczach wyobrażenia. Dziwi pana ta mowa moja?.. jakże to niekorzystną masz o nas opinię!..ale wierzaj mi każda z tych dziewcząt, które tak dumnie odsyłasz do spiżarni i fatałaszków, gdyby tylko śmiała umiałaby ci odpowiedzieć jak ja teraz odpowiadam i cierpieć co ja cierpię—gdyby ją Bóg na tak ciężką skazał dolę.

d. c. n.

Opis N. 44. (Dokończenie)

N. 36. Fartuszek przybrany pliskami i frendzlą. Ubranie 10 cent. szerokie naszyte podług ryc. 36, składa się z frendzli 5 cent. szerokiéj i z dubeltowéj pliski atłasowéj i plecioneczki 1 cent. szerokiéj. Kieszonki odznaczone są tylko naszyciem plisek, na 16 cent. długości począwszy od paska.

N. 37. Fartuszek przybrany pliskami i koronką. Wełniana gipiura 5 cen. szeroka, jedwabna torsadka, pojedyncze i podwójne rypsowe pliski 1 cent. szerokie, służą do ubrania fartuszka. Ząb górny od paska w środku ma 7 c. głębokości i z jednego boku oszyty jest marszczoną koronką. U dołu zęby zaczynają się na 6 cent. od obrąbka i liczą po 22 cent. środkowéj wysokości. Zakończenie zęba przykryte jest kokardą z kwastem, ułożoną z kawałka materjału 24 centymetrów długiego, 4 c. szerokiego, obrębionego w około i zakończonego w ząb u dołu. Przepięcie kokardy stanowi węzeł z podwójnéj pliski.

N. 38. Koszyczek do robót ozdobiony haftem ze sznelki. Materjał: sznelka w dwóch cieniach jednego koloru, grubsza i cieńsza, jasna i ciemna sznelka od haftu; kolorowa jedwabna podszewka. Biały pleciony koszyczek ma formę owalu 15 cent. długiego i 9 wysokiego. Pod poprzecznemi prążkami z czarnéj trzciny, przewleczona jest jasno brązowa sznelka. Podwójnie wziętą sznelką ciemniejszą, wyhaftowane są gwiazdy na dolnéj połowie koszyczka. Wierzch koszyczka wyszyty ciemną sznelką, z grubszą jaśniejszą po środku. Przyozdobienie stanowią jedwabne kwasty. Wewnętrzne ściany koszyczka wyłożone są brązową materją trochę podwatowaną. Najpierw pokrywa się dno i wieczko, następnie ściany koszyczka.

N. 39 — 42. Cztery desenie na haftowane szlaczki do ozdoby kaftaników, peleryn, koszyczków itp.

N. 39. Szlaczek haftowany na suknie. Środkiem naszyta jest pąsowa jedwabna plecionka przydziergana białym jedwabiem. Muszki wyhaftowane są ściegiem przewłóczonym zielonym i czarnym kolorem. Między ząbkami odznaczonemi czarnym i żółtym jedwabiem idą naprzemian ściegi: pąsowe, żółte, zielone, niebieskie i fijołkowe. Inne ściegi pozostałe w deseniu są brązowe i żółte.

N. 40. Szlaczek odrobiony na materjale szarym. Na materjale szarym przystębnowana jest pliska z pąsowego płótna. Desenik wyszyty na niéj jest kolorem czarnym, pąsowym, zielonym i żółtym. Pąsowy ścieg krzyżowy dany na paskach białych, przy których naszyty jest sutasz zielony. Gwiazdki brzeżne są w guście tureckim.

N. 41. Szlaczek z wyszywanym brzegiem. Brzeżek ten stanowi podwójnie wzięta włóczka angielska, przydziergana ciemno brązowym jedwabiem. Ząbki z grubego maisowego kordonku przyczepiane jedwabiem ciemno brązowym i pomarańczowym.

N. 42. Szlaczek haftowany na suknie. Desenik wyszyty czarnym jedwabiem ściegiem luźnym kolorem zielonym, niebieskim i żółtym.

N. 43, 30 i 49. Szydełkowa chusteczka. Materjał: biała włóczka angielska, 330 c. kolorowéj wstążki 2 cent. szerokiéj. Miękka i miła chusteczka złożona podwójnie i zarzucona na głowę, odrobiona jest szydełkiem z białéj angielskiéj włóczki i przewleczona kolorową wstążką. Kwadrat robiony tam i napowrót zaczyna się na 191 o. pow. Rycina 30 podaje w naturalnéj wielkości wzór tła składającego się z luźnych długich sł. i o. pow. Przy zaczęciu na pierwszy rząd słupków odrobić 17 o. pow. daléj robić * 2 sł. 2 o. pow., 2 sł. 1 o. pow. *. Przejmując za łańcuszek przy zaczęciu, trzeba słupki kłaść w każde szóste oczko. Powrócić od *. Przy zaczęciu każdego nowego rzędu przerobić 5 o. pow. Po przerobieniu 28 rzędów obrabia się w około 6 rzędów stanowiących szlaki, w których na rogach należy przybierać, aby się kwadrat nie ciągnął. Przed zaczęciem szlaków brzegi boczne obrabiają się sł. i o. pow. przez które przewłóczy się wstążka kolorowa.

N. 44—45. Dwie frendzle. Frendzle te odrobione z czarnego lub kolorowego jedwabiu, krętéj bawełny écru i jedwabnego sznura, służyć mogą do paletotów, peleryn, kaftaników, sukien itp.

N. 44. Frendzla z nagłówkiem z pasmanterji i roboty szydełkowéj. Nagłówek z grubego sznura i plecionego sutaszu zakończony jest szydełkowemi ząbkami. Te liczą * 2 o. p, 3 p. składające się z 5 o. p. i 1 o. śc. w pierwsze z p., 1 węzeł nawijany o 8—10 nawinięciach, który zaczepia się przy pierwszym pikocie, daléj 12 o. p, z których 10 łączy się w owal. Powrócić od *. Szlaczek ten przyszywa się do sznura, na frendzlę wiąże się gruby kręcony jedwab.

N. 45. Frendzla z szydełkowym nagłówkiem. Podług ryc. 45. łatwo będzie przeliczyć liczbę o. pow. i sł. w nagłówku szydełkowym, robionym tam i napowrót, nie podajemy więc szczegółowego opisu téj łatwéj roboty.

N. 46. Okrągły kapelusz z czarnéj materji jedwabnéj. Rondko obięte jest aksamitem czarnym, pokrycie jedwabne kapelusza stanowi tiul jedwabny w rzucik, a przybranie różowa wstążka i gałązka kwiatów. Upięcie wstążki i kwiata, każda z czytelniczek z łatwością dopełni podług wzoru.

N. 47. Uczesanie głowy wraz z przypięciem kwiatów. Od czoła odczesane włosy są przykarbowane i ułożone w pukiel wysoki na podkładzie z tyłu głowy. Pukiel ten rozdziela na dwie części przepięcie włosów, ułożone z dwóch krzyżujących się promieni. Jeżeli własne włosy nie wystarczą na dwa loki i gruby warkocz to z łatwością można je dopełnić nie widocznie przypiętym szynionem. Krótkie loczki dadzą się ułożyć z włosów krótkich po za uszami.

N. 48. Uczesanie z djademem i kokardą. Końce włosów ułożonych z przodu w karbowane nioby, stanowią karbowany pukiel po za niobami, z pod którego spuszczają się loki. Nad czołem przypięty jest djadem, z boku aksamitna kokarda.

N. 49. Opis przy ryc. 43.

N. 50. Jesienne ubranie dla panienki. Suknia podana na ryc. 50 składa się ze spódnicy nie sięgającéj ziemi i stanika pod szyję z materjału zielonego w pasy do cieniu; na wierzch dodany kaftanik bez rękawów, z przodu i z tyłu kwadratowo wycięty, z materjału gładkiego najciemniejszego. Suknia w paski jest bez żadnego ubrania. Rękawy szerokie i wycinane w zęby, dopełnione od spodu wązkiemi gładkiemi. Kaftaniczek przybrany z przodu plisami aksamitnemi z zieloną wypustką, idącemi przez ramiona nakształt bretelek. Stojący kołnierzyk i mankiety z fałdowanego muślinu; czarna aksamitka w miejsce krawatki.

N. 51. Ubranie domowe z tuniką w kształcie karoczka. Do oszycia zębów, przybrania i na pliski, użyty jest brązowy atłas. Suknia nie sięgająca ziemi z tuniką, stanikiem pod szyję i szerokiemi rękawami, odrobiona jest z brązowego rypsu wełnianego. Podług ryc. 51 wycięte zęby 4 i pół cent. szerokie 5 cent. wysokie, objęte atłasem na pół cent. są wycięte przy tylnéj części tuniki danéj na podszewce. Także oszycie do rękawów i stanika liczy 7 cent. szerokości, lecz podszywa się materją. Tylna część tuniki podniesiona przez fałdy 1 cent. szerokie, do 28 cent. długości, zmarszczona i przypięta do paska na szerokość 34 cent. wymaga kawałka 66 cent. szerokiego i 48 centy. długiego. Przednie części tuniki po 16 centy. długie u góry, 12 u dołu, 19 cent. szerokie i ozdobione ząbkami, łączą się z częścią tylną pod końcami, przyszytemi do paska, u dołu zakończonemi w ząb 7 cent. szeroki; dolny jest 41 centy. długi, 6 u góry, 16 cent. u dołu szeroki, górny zaś liczy 25 centy. długości i szerokości w górze 9, u dołu 13 centy. Oprócz objęcia atłasem, końce te przybrane są jeszcze przystebnowanemi pliskami atłasowemi.

N. 52. Kołnierz i rękawki z muślinu i koronki. Dwie nakształt kołnierzyka wycięte części muślinu, po 45 cent. długie, na końcu 7 cent., w drugim $6^1/_2$, a w miejscu gdzie się krzyżują pod kokardą $3^1/_2$ cent. szerokie, zszyte z tyłu w ząb, stanowią podstawę kołnierza. Te poszywa się poprzecznie idącemi skośnemi pliskami po 3 centy. szerokiemi, które trochę na siebie zachodzą. Z tyłu zejście się plisek pokrywa skośne muślinowe przepięcie. Górny wykrój objęty skosem muślinowym i oszyty koronką, u dołu dana koronka marszczona, $5^1/_2$ cen. szeroka i haftowana aplikacja. Kokarda ułożona ze skosów muślinu i koronki. Do wykonania takiego kołnierza posłużyć również może czarny tiul, krepa lub grenadina z irlandzką koronką i kolorową wstążką. Na wolancie przy rękawach 46 cen. długim i 13 cent. szerokim, zakończonym oszyciem odpowiednem kołnierzowi, naszyte są pliski 7 cent. długie. Rękawy od sukni, z wierzchu rozcięte, przybrane riuszą, torsadą i koronką czarną. Dwie kolorowe kokardy łączą to rozcięcie.



N. 1—3. Ubrania dom^owe.

N. 1. Ubranie z bluzkowym fartuszkiem.

N. 2. Suknia ze stanikiem z baskiną dla panienki od 12—16 lat. Krój stanika na dodatku N. III, Fig. 6—9.

N. 3. Ubranie z vêtement otwartem z przodu. Deseń wyszycia na dodatku F. 30.

Opis do N. 45.

N. 1. Fartuszek bluzkowy dla małéj dziewczynki. Do dubeltowego karczka 11 cent. szerokiego, z tyłu na guziki zapinanego, wszywa się prosty bryt szerokiego, batystowego fartuszka, który mieć powinien 61 cent. długości, 68 centym. z przodu, a po 34 w tylnych częściach szerokości. Przy wszywaniu daje się potrzebne podcięcie na rękawy. Rękawy przymarszczone i w pasek przy rękach wszyte, mają 34 centym. długości i 31 szerokości. Falbanki haftowane 2 i pół

cent. szerokie, przyszyte na dwie strony do haftowanéj 1 i pół cent. szerokiéj wstawki, stanowią garnirunek.

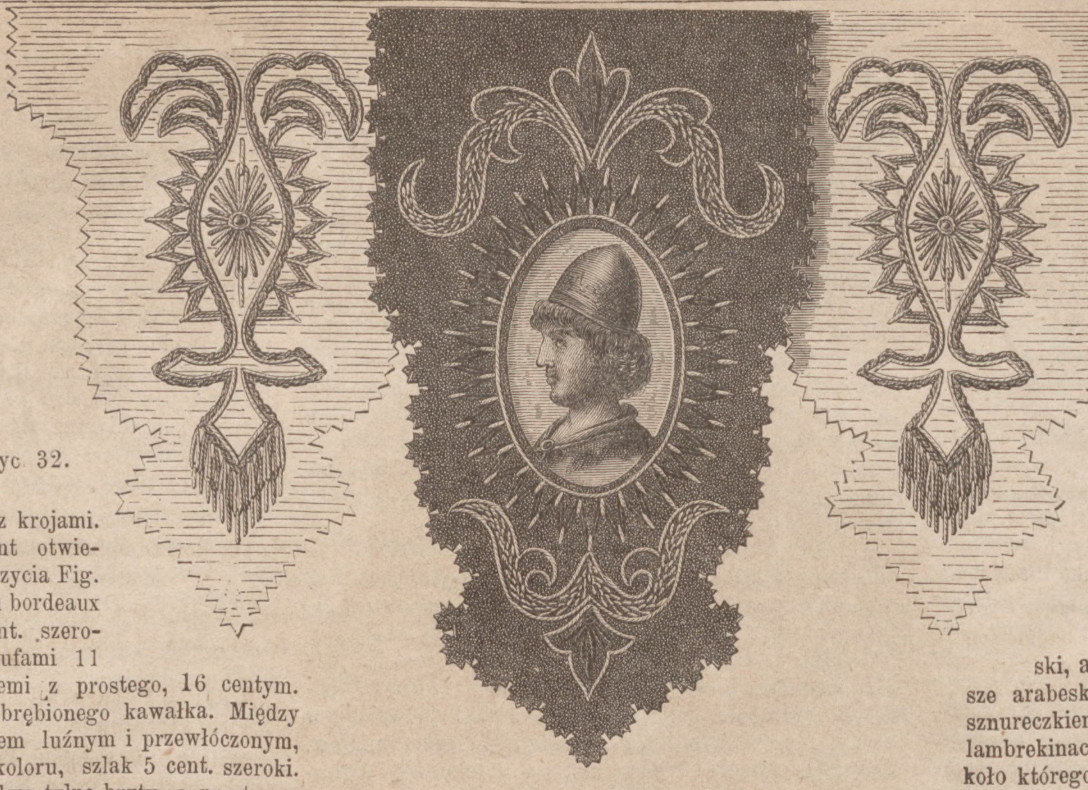


N. 5. Haft na chustkę do ryc. 32.

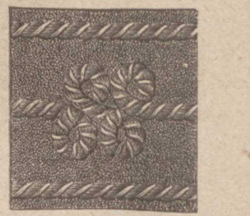
N. 2. Opis na arkuszu z krojami.

N. 3. Suknia z vêtement otwieranem z przodu. Deseń wyszycia Fig. 30. Suknia wełniana koloru bordeaux oszyta jest prostym, 26 cent. szerokim wolantem i dwiema bufami 11 centym. szerokiemi, ułożonemi z prostego, 16 centym. szerokiego, na dwie strony obrębionego kawałka. Między bufami wyszyty jest ściegiem luźnym i przewłóczonym, jedwabiem tego co suknia koloru, szlak 5 cent. szeroki.

Przy vêtement (którego dwa tylne bryty są proste, w górze zmarszczone, a plecy ukrojone z baskiną) powtarza się taki sam garnirunek z tą różnicą, że falbana jest haf-



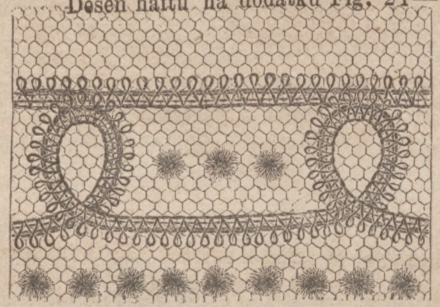
N. 4. Lambrekina przyozdobiona haftem i malowaniem. Deseń haftu na dodatku Fig. 21—22.



N. 6. Wyszycie na sukience ryc. 2. w przyszłym Nrze.



N. 7. Wiązany kapelusz z wysoką główką i woalik ozdobiony haftem podług ryc. 8.



N. 8. Wszycie brzegów woalika ryc. 7.



N. 11. Gwiazdka ze wstążki do ryc 10. Wielkość naturalna. Strona lewa.



N. 9. Wiązany kapelusz z odstającem Patrz kokardę ryc. 21.

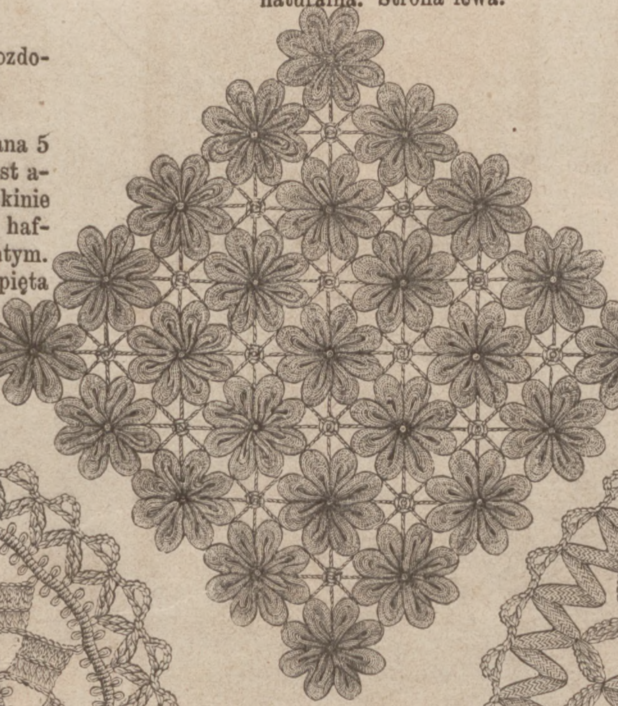
towana i ma tylko 16 cent. i bufa 10, a plisa haftowana 5 cent. szerokości; ta ostatnia w górze zakończona jest atłasową wypustką. Przy szerokich rękawach, baskinie i staniku, bufy mają 8—10 cent. falbany 5 — 6, a haftowane, atłasową wypustką zakończone plisy, 4 centym. szerokości. Z tyłu w pasie dodana kokarda, przepięta jest węzłem haftowanym.

N. 4. Lambrekina przyozdobiona malowaniem i haftem do pułeczek narożnych, koszyczka lub t. p. Deseń haftu Fig. 21—22. Ryc. 4 podaje w zmniejszeniu ładną i w nowym guście lambrekinę na którą deseń naturalnéj wielkości znajduje się na Fig. 21—22. W ząbki wycięta część środkowa, jest z sukna pąsowego, z wprawionym w środek medaljonem malowanym na białej materji; w koło medaljonu dane wyszycie ze złotego sznura, a daléj zęby z czarnego kordonku, przeszywane nitką złotą. W miejsce malowania można na medaljonie dać haft wypukły lub płaski, aplikacją lub sylwetkę złożoną z figury. Dalsze arabeski robi się kordonkiem białym i czarnym oraz sznureczkiem złotym. Na małych białych sukiennych lambrekinach, arabeska obwodzi się sznureczkiem złotym, koło którego w górze obrabia się ściegiem sznureczkowym kordonkiem pąsowym, a od dołu zielonym. Do wyszycia frendzli, zębów i gwiazdy środkowéj używa się kordo pąsowego, żółtego, zielonego i nitki złotéj. W śro gwiazdy, biała perełka jest złotym sznureczkiem otoczona.

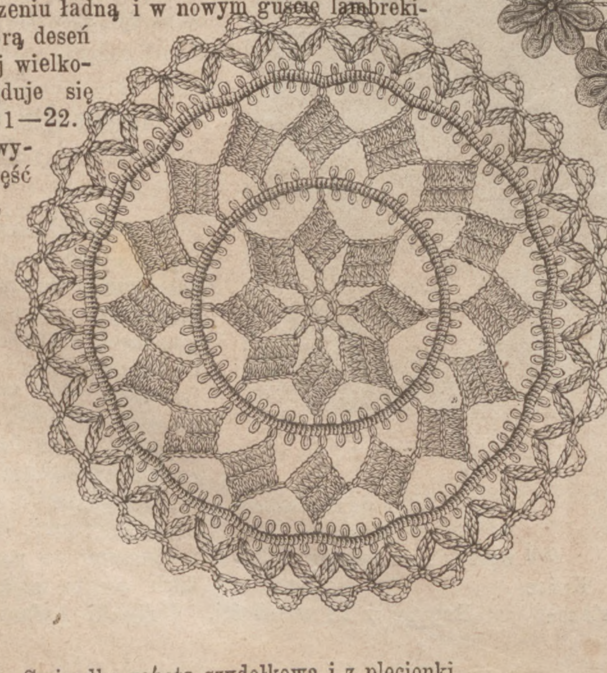
N. 5—6. Dwa deseniki. Opis przy dalszych rycinach.

N. 7—9 i 21. Dwa zimowe Kapelusze. Jakkolwiek co do fasonu małe zaszły odmiany, świeże jednak kapelusze widocznie różnią się tem, iż zamiast być nasunięte na czoło, więcéj spuszczone są ku tyłowi głowy.

N. 7 — 8. Kapelusz do wiązania z podniesionem rondkiem. Z wierzchu gładko fijołkowym aksamitem



N. 10. Serwetka do mebli, z gwiazdek spajanych pajączkami.



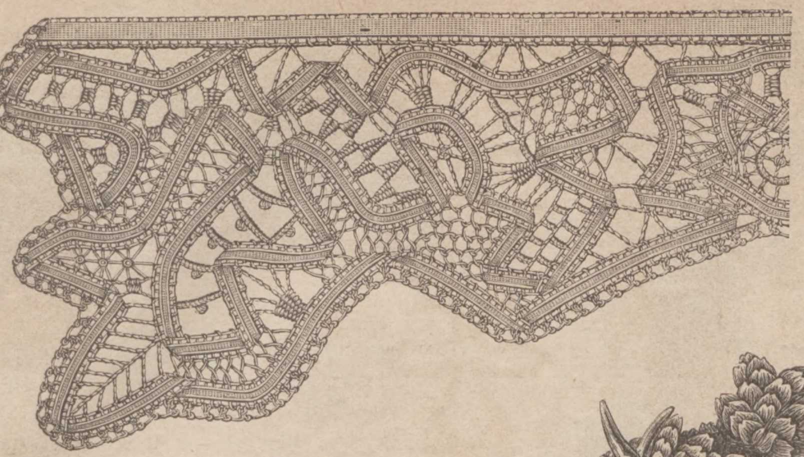
N. 12. Gwiazdka robotą szydełkową i z plecionki mignardise.



N. 13. Gwiazdka do łączenia do ryc. 12.



N. 14. Gwiazda z plecionki w ząbki i roboty szydełkowéj.



N. 15. Róg do kołnierzyka. Koronka irlandzka.



N. 16. Róg od kołnierzyka. Haft dziergany.



N. 17. Wieszadło. Mozajka z szyszek. Krój listków na dodatku Fig. 33. 24.

pokryty kapelusz, ma rondko mocno w górę podniesione, z brzegu wązko rulonikiem objęte, od spodu podgarnirowane koronką i podpięte bufą z aksamitu. Główka przybrana piórami fijołkowemi, kwiatami i bufami z jedwabnego tiulu. Do wiązania pod brodę, przypięte wstążki rypsowe, 8 centy: szerokie. Woalik stanowi prosty kawałek białego jedwabnego tiulu, mający 32 centy: szerokości i 120 centy: długości. Łatwe, a jednak bardzo ładne wyszycie z czarnych koronkowych ząbeczków i czarnéj, cienkiéj



N. 18. Kapelusik dla małéj dziewczynki.



N. 21. Kokarda z dwojakiego aksamitu do kapelusza N. 9.

...szen, przedstawia próbka N. 8; użyć ją można zarówno do białego jak i czarnego jedwabnego tiulu. Ryc. 7 w N. 46 Tygodnika przedstawia ten sam kapelusz z tyłu.



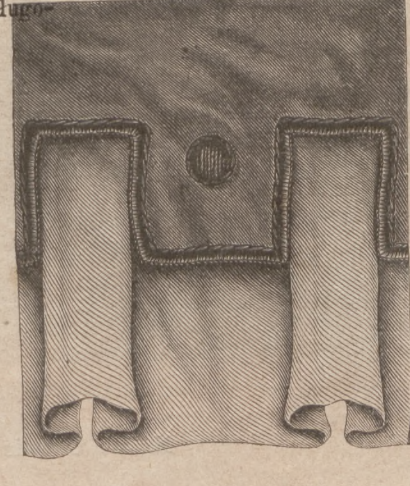
N. 23. Jesienny kaftanik z szerokiemi rękawami zwany „Dolman" Krój na dodatku N. I, Fig 1—4.



N. 20. Karczek ze wstawek haftowanych i koronkowych. Krój i opis na dodatku N. V. Fig. 14—16.

N. 9. Kapelusz z rondkiem odwiniętym.

Brązowy, aksamitny kapelusz, ubrany jest 9 cent. szerokiemi skosami brązowego i niebieskiego aksamitu, które razem skręcone otaczają przyszycie rondka, którego brzeg objęty jest pliską z niebieskiego aksamitu. Na woalik w bufy na główce upięty, potrzeba kawałka jedwabnego tiulu, mającego 100 cent. długości, a 37 cent szerokości, oszytego w koło koronką 5 cent. szeroką. Koniec woalika 30 cent. długi, podpięty jest z jednéj strony kokardą, którą osobno podajemy pod N. 21. Taka kokarda układa się ze skosów 9 cent. szerokich z aksamitu brązowego i niebieskiego. Z boku na główce przypięta gałązka brązowych róż przekwitłych, z liściami takie-



N. 25. Garnirunek w fałdy do sukni ryc. 37.



N. 27. Szlak. Haft i sylwetki. Deseń patrz na dodatku Fig 26.

goż koloru, do których domięszane nasiona buku. Szarfy do wiązania są z szerokiéj rypsowéj wstążki.

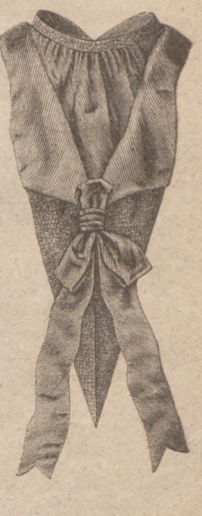
N. 10 i 11. Patarafka z gwiazdek z tasiemki, łączonych ściegiem koronkowym.

Materjał: Bawełniana kiprowana tasiemka, 1 i pół c. szeroka i kręta bawełna N. 30.



N. 19. Czapeczka z daszkiem dla chłopczyka. Krój na dodatku N. XVII. Fig. 64. 65.

Z podanych na ryc: 11 gwiazdek, można zarówno układać całe serwety



N. 22. Kapturek z szarfą do burnusa ryc. 6 w Nrze. 46.



N. 24. Stanik z baskiną. Plecy do ry. 37. Krój na dodatku N. VIII. Fig 31 do 36.

na stoliki, jak i małe patarafki, albo kwadraty, które w połączeniu z tejże wielkości kwadratami siatkowemi, szydełkowemi, lub robionemi na drutach, ładną utworzą całość. Na każdą taką 8-listną gwiazdkę, potrzeba 24 cent. tasiemki 1 i pół cent. szerokiej. Na próbce podajemy gwiazdę, naturalnéj wielkości z lewéj strony, ażeby lepiéj wykazać sposób składania i zeszywania. Najpierw tasiemkę dzielimy na 16 równych części, z których po dwie zeszywamy w ten sposób, ażeby tworzyły listek; listki te następnie przeszywamy w koło razem. Chcąc ażeby wszystkie ząbki były równe, potrzeba zawsze od jednego brzegu do drugiego dawać dwa skośne ściegi, a samo załamanie tasiemki przejąć trzecim. Gdy już gwiazdki są z sobą połączone, zapełnia się pozostałe między niemi otwory kratką koronkową, któréj próbkę przedstawia ryc. 10.

N. 12—14. Dwie duże i mała rozeta środkowa, na kapy, serwety itp.



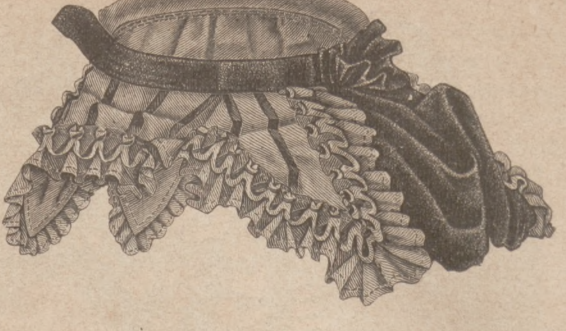
N. 26. Garnirunek z riuszą do ryc. 29 i 30.



N. 28. Karoczek z wykładem. Krój i opis nadodatku N. XII, Fig. 48a.



N. 31. Chusteczka z jedwabnéj krepy. Patrz ryc. 32.



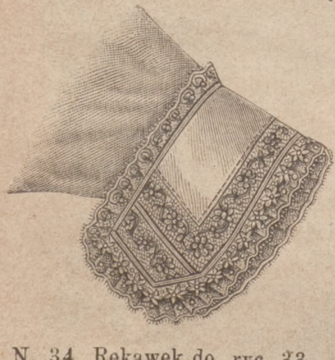
N. 29. Karoczek z fałdowaniem tyłu. Patrz rękaw ryc. 30. Krój i opis na dodatku N. X, Fig. 42—44.

Robota szydełkowa z mignardise i plecionką.

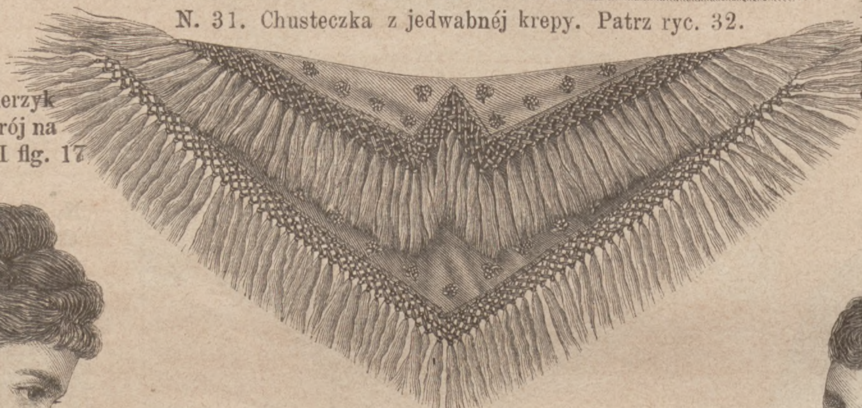
N. 12 i 13 Rozeta z mignardise i mała do spajania. Każdy z 8-miu kwadratów gwiazdki środkowéj zaczyna się od 6 o. pow. przyrobionych do jednego z 48 pikotów, środkowego kółka z mignardise; następnie robi się 3 o. pow., stanowiące 1-y słupek kwadracika i 6 słup. w 6 o. pow. poczem odwraca się robotę; robi 3 o. pow. i 6 słup. następującego rzędu. Po wykończeniu 8-iu kwadracików, odrabia się 8 słupków, stanowiących pająaczek środkowy, łączący kwadraciki z sobą. Drugie kółko mignardise liczy 96 pikotów i jest połączone z pierwszem, za pomocą 16 kwadratów, robionych tak samo jak poprzedzające i przyczepianych do pikotów. Na ząbki zewnętrzne daje się dwa wysokie słupki w jeden pikot, (zatrzymane sposobem tunetańskim na szydełku) opuszcza 2 pikoty, daje znów 2 słupki w trzeci pikot, poczem zrabia się wszystkie 4-y słupki jednym oczkiem, daléj 2 o. pow. 1 pikot z 5 o. pow. połączonych 1 słupkiem i 1 o. pow. poczem znów dwa długie słupki następnego ząbka przyczepione w ten sam pikot co poprzednie, który tym sposobem łączy ze sobą 4 wysokie słupki. Tak powtarzać ciągle. Mała rozetka N. 13 służąca do spajania, składa się z 8 takich samych kwadracików jak środkowa, tylko brzegi zewnętrzne zamiast być przyczepiane do kółka z mignardise, przedzielane są dwoma ząbkami szydełkowemi z których każdy składa tię z 1 o. śc. 2 o. pow. 1 pik. z 5 o p. złączonych 1 słup. i z 2 o. powietrznych.



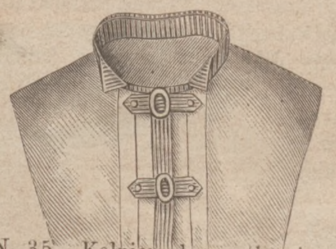
N. 33. Kołnierzyk z kokardą. Krój na dodatku N. VI fig. 17



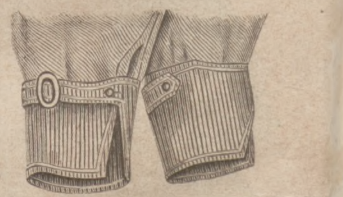
N. 34. Rękawek do ryc. 33. Krój na dodatku N. VI, fig. 18.



N. 32 Chusteczka z jedwabnéj krepy przybrana haftem. Rozłożona.



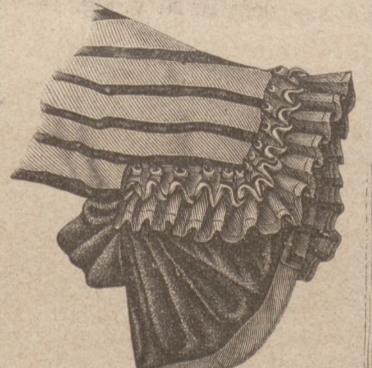
N. 35 Kołnierzyk z patkami do zapinania. Mankiety patrz ry: 36. Krój na dodatku N. XVI Fig 61—62.



N. 36. Mankiety do ryc. 35. Krój na dodatku N. XVI, Fig. 63.



N. 37. Suknia ze stanikiem, gorsecikiem i baskiną. Przód do ryc: 24. Krój na dodatku. N. VIII, Fig 31—36.



N. 30. Rękaw z fałdowaniem. Patrz ryc. 29. Krój i opis na dodatku N. IX i X. Fig. 40 i 45.



N. 38. Ubranie z muślinu.